NR 13 (57) CENA 1 ZŁ

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 29 marca 1959 r.

ZBIGNIEW NIENACKI

MEDYTACJE WIELKANOCNE

Zdarzyło się jednego razu, że niejaki Norbert, słynny hulaka i urodziwy panicz fran koński, jadąc lasem wśród burzy, spadł z konia i usłyszał głos Boży. Od tej chwili zrzucił z siebie bogate szaty i oddał się życiu pokutnemu, wraz z przyjaciółmi swymi pędząc pustelniczy żywot. Natychmiast za owym Norbertem — pisze historyk — pobiegła zapalista ciżba mężów i niewiast tak, jako za przodownikiem flagentów pędzą ludzie bez tchu. A w pierwszym szeregu kobiety.

Obiecywał im Norbert niebo — jeśli rzucą świat i ponęty miłosne, jeśli w odzieniu sypiać będą, twarze myć przestaną i biczować się co dzień nawzajem zaczną. To samo obiecywała innym siostra św. Bernarda, Humbellina — atoli niewiasty frankońskie posłuchały chętniej owego urodziwego paniczyka, który wkrótce świętym Norbertem został. Zmarłszy w 1134 roku.

Podówczas to w Polsce żył bogacz wielki i sławny woj — Piotr Włostowicz zwany Duninem ze Skrzynna. Podobno nawet w onych czasach — nie było odeń bogatszego człeka. Opowiadali, że Piotr Dunin ma w posiadaniu skarby królów duńskich, których przodkowie jego złupili. Faktem jest, że włości Dunina rozciągały się po całej Polsce i że chyba roku by nie starczyło, aby je wszystkie konno objechać. Powiadali o nim także, że na sumieniu miał niejedną zbrodnię. A że był bogaty — tak długo go klechy nawiedzali, tak długo widmem mąk piekielnych straszyli i przykładem św. Norberta w oczy go kłuli aż dał się przekonać, żeby zbudować w Polsce siedem razy po siedem kościołów i jeszcze raz siedem kościołów z kamienia i ciosu. Siedemdziesiąt siedem grzechów naliczyli mu bowiem klechy.

Tym grzechom Piotra Dunina mamy do zawdzięczenia mały kościółek w Strzelnie na Kujawach.

* * *

Dziwnie jest w tej naszej Polsce. Im mniejszy artysta tym dalej za granicę jedzie szukać natchnienia, tym głośniej potem opowiada o wspaniałych rzeźbach i starych dziełach sztuki, które za granicami Polski oglądał.

...Nieopodal legendarnego jeziora Gopła na Kujawach stoi sobie w miasteczku Strzelno, na wzgórzu, nieduży kościółek Panien Norbertanek. Obok zaś znajduje się malutka rotunda pod wezwaniem świętego Prokopa. Pewnego dnia 1946 roku przyjechał do Strzelna uczony, nazwiskiem Zdzisław Kępiński. Obejrzał wnętrze kościoła Panien Norbertanek, przemierzył ściany, opukał kolumny, to i owo zapisał sobie w notesiku. A potem...?

Potem kazał odkuć tynk na czterech filarach w środku kościoła. I oto spod warstwy cegły i tynku wyjrzały przecudnej urody romańskie kolumny, rzeźbione z niezwykłym artyzmem, dzieło tak piękne, że oddech w piersi zapiera każdemu kto ma choć odrobinę wrażliwości na sztukę. Dziś wejście do kościoła w Strzelnie po prostu szokuje. W barokowym wnętrzu, wśród złoconych aniołków — aż biją w oczy surowe, pełne wzniosłej prostoty cztery kolumny, pamiątka po zbudowanym tutaj siedemset lat temu romańskim kościele ufundowanym przez Dunina.

...Nie tak znowu dawno czytałem rozważania pewnego polskiego pisarza, który zastanawiał się nad tym czy nasza sztuka — jest europejska. Nie wiem, czy nad podobnymi problemami zastanawiał się także ów bezimienny rzeźbiarz ze Strzelna, który przez całe życie ził w kamieniu piękno. Stworzył jednak dzieło o wprost wyjątkowej wartości.

Wiadomość, że w jakimś kościółku włoskim odkryto nie znane dotąd freski — obiega natychmiast całą naszą prasę. O odkryciu prof. Kępińskiego, dokonanym w Strzelnie, wzmiankowało skromnie zaledwie kilka gazet, za to rozpisywały się o tym zachodnie czasopisma. Wiele jest wśród nas barwnie upierzonych papug, które powtarzają zasłyszane gdzieś zdania; w ich ptasich głowach nie potrafi zrodzić się wyobrażenie, że często o mały krok od nich, pod brzydkim tynkiem kryje się piękno, którego jeżdżą szukać za granicą.

...Odłupano tynk i cegły. Z mroku kościoła w Strzelnie

Dokończenie na str. 5

JACEK LEBEN

Wróżby Matuzalemy Puc *czyli* przepowiednie jak najbardziej odpowiedzialne

Otrzymaliśmy przepowiednie polityczne Matuzalemy Puc, znakomitej wróżbiarki spod Wieruszowa. Publikując tę jedyną w swoim rodzaju syntezę przyszłości, pragniemy naszych Czytelników zawiadomić, że wybitna chiromantka przyjmuje prywatnie w sprawach mieszkaniowych, gier liczbowych, szczęścia osobistego, przepowiada także dla organizacji społecznych.

Od Germanii zacznę, bo to najbliżej. Otóż honorowy Krzyżak kanclerz Adenauer zemrze w najbliższym historycznie czasie. Ale przed śmiercią spotulnieje i wyszlachetnieje dziwnie. Ufunduje nagrodę na najlepszą pracę naukową, o polskości ziem nad Odrą i Nysą oraz w ramach czynu dla uczczenia 450 rocznicy bitwy grunwaldzkiej przybędzie do Polski, by wbijać symboliczne słupy graniczne i wziąć zaślubiny z polskim morzem.

Okaże się, że de Gaulle wcale nie jest taki wysoki jak się wydawało. Kiedy stanie koło wieży Eiffla, to wszyscy się przekonają, że jest niski. Sam de Gaulle oświadczy, że jest wcieleniem Joanny d'Arc i każe się beatyfikować za życia. Watykan się sprzeciwi i świat stanie na krawędzi wojny.

Na szczęście mediacji podejmie się sam książę Monaco Reinier. Uda się do papieża, a jego żona Grace Kelly przekona starego generała, że nie może on być wcieleniem Joanny d'Arc chociażby ze względu na płeć.

Klęska zostanie odwrócona od świata.

Książę Reinier zburzy kasyno gry i wybuduje na jego miejscu świątynię, przeprowadzi reformę rolną i ogłosi powszechną amnestię dla więźniów politycznych.

Kroki podjęte przez księ-

(Dokończenie na str. 2)

TADEUSZ GUTKOWSKI

9 DNI ZJAZDOWYCH

Komentarze prasowe, towarzyszące obradom III Zjazdu PZPR, miały poza doraźną informacją cel znacznie głębszy: wskazać jak ściśle tematyka Zjazdu powiązana jest z prywatnym losem na przykład pasażerki autobusu 112, którego kurs — ku niejakiej wygodzie publicystów — przebiega akurat obok Sali Kongresowej. Jednym słowem: co mówiono na Zjeździe i po co.

Był to, moim zdaniem, najsłuszniejszy punkt wyjścia do rozważań już bardziej szczegółowych, wyznaczających rolę każdego z nas w urzeczywistnianiu uchwalonej siedmiolatki. Tym zaś, którzy tutaj gotowi są skrzywić się, gorąco polecam pewien fragment przemówienia Józefa Cyrankiewicza. A mianowicie ten, w którym Premier przekręcił przed oczyma delegatów film minionego dwudziestolecia w odwrotnym kierunku. Bardzo pouczająca retrospekcja.

Wydaje się jednak, że odpowiedź na pytanie: „co i po co" nie wyczerpuje treści 9 zjazdowych dni. Nie bez kozery zapewne spotkałem się po powrocie z Warszawy także z pytaniem: jaki był Zjazd?

Właśnie. Z trybuny i w kuluarach słyszało się różne określenia, a więc Zjazd Zwycięzców, Zjazd Budowniczych Socjalizmu, Zjazd Konsolidacji. Każde z tych określeń jest, oczywiste, w pewnym sensie, trafne, ale dwa pierwsze jako nader namaszczone sugerują (fałszywie) raczej akademię niż zjazd robotniczy, trzecie natomiast oddaje zjawisko konsolidacji partii nieco powiedziałbym, statystycznie, jako proces definitywnie zamknięty.

III Zjazd PZPR nazwałbym osobiście Zjazdem Październikowym.

Moi łódzcy rozmówcy chociaż na Zjeździe nie byli, kręcili głowami. Zjazd Październikowy, a nic ciekawego — żadnych sporów, same deklaracje... Rzeczywiście, 86 delegatów (plus Władysław Bieńkowski, którego przemówienie, choć nie wygłoszone z powodu choroby, zostało dołączone do stenogramu zjazdowego) było zgodnych co do środków i metod, jakie należy stosować, aby osiągnąć wytyczne cele. Rzeczywiście, bodaj wszyscy składali deklaracje popierające linię partii. Zanim jednak zacznie się kręcić głową, warto zastanowić się, na jakiej platformie wyrażały się owa zgodność i poparcie. Na platformie aprobaty linii VIII Plenum, która od dziś stała się linią Zjazdową.

KOGO WIĘC I CO TU BOLI?

Nazywam III Zjazd PZPR Zjazdem Październikowym nie tylko dlatego, że mam przed sobą nowy skład Biura Politycznego KC, ale również dlatego, że określenie to zawiera i genezę Zjazdu i jego założenia i jego wytyczne.

Krótko:

⊙ III Zjazd unieważnił oparte na fałszywych i błędnych przesłankach uchwały poprzednich zjazdów stwierdzające, że w partii naszej miało miejsce prawicowo-nacjonalistyczne odchylenie. Uchwały te, jakkolwiek już przekreślone przez praktykę i rzeczywistość polityczną, formalnie mogły być zniesione tylko przez Zjazd;

⊙ III Zjazd stwierdził taki kierunek rozwoju kraju, który zapewnia stały wzrost sił wytwórczych przy stale rosnącym poziomie życia. Z tego też powodu Zjazd nie mógł uwzględnić wielu słusznych postulatów inwestycyjnych terenu (w tym Łodzi i województwa) gdyż oznaczałoby to zmniejszenie części dochodu, przeznaczonej na spożycie;

⊙ III Zjazd uznał konieczność rozwijania demokracji socjalistycznej, w której najpełniej dochodzi do głosu inicjatywa społeczna, sprzyjająca procesowi decentralizacji i wciągania szerokich kręgów społeczeństwa do współrządzenia krajem;

⊙ III Zjazd potwierdził miejsce Polski w obozie socjalistycznym na zasadach równouprawnienia i suwerenności w stosunkach międzypaństwowych i międzypartyjnych.

W kuluarach Sali Kongresowej spotkałem znajomego działacza. Nie widzieliśmy się od czterech lat. Było to PIERWSZEGO dnia obrad.

Chłopie — wołam, ciesząc się na widok kochanej, pucołowatej gęby — aleś się nic nie zmienił!

— Po co? — ryczy moja kochana, pucołowata gęba — przecież wiatr ten sam...

— Oj, bracie, a jednak nie ten sam.

Któż zresztą, u licha, w naszej epoce, puszcza się w daleką podróż żaglowcem?

ANNA POGONOWSKA

SPACER

Kałuże były ogniste
Od potopionych liści
W kolorach stu śmiertelnych
Szliśmy

Zabawnie tak nie mówić
Dotykać barw milczenia
Z obłokami wymieniać
Kształt śmiech nadrzeczywisty

Te ręce ponad wodą
W jaki znak się uplotą
Woda znak ten poniesie.

ZABIEGI

Przytwierdzona deszczami do zbocza
Niewidzialne obliczam góry
Sierście buków palce mi łaskoczą
Kłuję się o pnie zdarte piorunem

Wyślizgują się strumienie z dłoni
Cienkim skrzelem suną przez kamienie
Włos kosmosu schwytałam i ciągnę
Aż roznieci rozgałęzi mnie tchnienie.

ANKIETA
o TEATRZE NOWYM

Konstanty Puzyna

Przesyłam odpowiedź na dwa pytania błyskawicznej ankiety Waszego pisma, dotyczącej teatru Dejmka.

1) Felieton Kotta „Niespodzianka z Radziwiłłówną" (Przegl. Kult. nr 5-535) oczywiście czytałem, aczkolwiek — o ile dobrze zrozumiałem — mowa w nim m. in. o perspektywie objęcia przez Dejmka dyrekcji Teatru Narodowego a nie „o projekcie przeniesienia Teatru Nowego (pod dyrekcją Kazimierza Dejmka) z Łodzi do Warszawy", jak to formułuje Wasza ankieta. Różnica jest dość istotna, nawet gdyby Dejmek, obejmując Teatr Narodowy, zabrał ze sobą część zespołu Teatru Nowego.

2) Co sądzę o tym projekcie?

a) formalnie — sposób jego sformułowania wydaje mi się trochę nieprzyzwoity w stosunku do Horzycy *) i zespołu Teatru Narodowego. Ani tonacja tego sformułowania, ani miejsce (parę ostatnich zdań recenzji ze spektaklu Dejmka) nie wydają mi się właściwe przy wysuwaniu projektów tego typu;

b) merytorycznie — zależy od tego, jak chcielibyśmy widzieć funkcję, zadania i styl Teatru Narodowego. To dosyć złożona sprawa, na pewno warta dyskusji. Owe funkcje i styl jeszcze nie skrystalizowały się wyraźniej w tym teatrze: od chwili jego powojennej restytucji linia teatru wciąż jest chwiejna i niezdecydowana, a zespół zaplątany w przeróżne kłopoty, z których dotąd trudno mu było znaleźć jakieś konsekwentne wyjście w płaszczyźnie artystycznej. Niewątpliwie nazwisko Dejmka oznaczałoby dlań propozycję wyrazistszą niż dotychczasowe. Czy właściwszą — nie jestem pewien, zważywszy trochę akademicki w założeniu charakter takich scen jak Teatr Narodowy — nie tylko u nas. Istnieje też pytanie, czy warto na rzecz Warszawy ogałacać Łódź z tak ważnego i aktywnego elementu życia kulturalnego tego miasta, jak Teatr Nowy.

Skądinąd Dejmka jako inscenizatora, reżysera, organizatora, a także drogę artystyczną Teatru Nowego w ostatnich latach oceniam bardzo wysoko. Chętnie oglądałbym ten Teatr w Warszawie, choćby po to, by nie jeździć do Łodzi. Czy samemu Dejmkowi i zespołoki Teatru Nowego Warszawa wyszłaby na dobre, to jeszcze inne zagadnienie — ale to już jego sprawa nie moja.

Warszawa, dnia 20 lutego 1959 r.

*) *Wypowiedź Konstantego Puzyny pisana była przed śmiercią Wiliama Horzycy (Redakcja).*

Julian Przyboś

Oto moja odpowiedź na pytania „błyskawicznej ankiety" „Odgłosów":

1) Artykułu Jana Kotta pt. „Niespodzianka z Radziwiłłówną" nie czytałem; uszedł on mojej uwadze.

2) Nie miałem, niestety, dotychczas możności poznania teatru K. Dejmka w Łodzi. „Nie jestem więc ja tak szalonym, ażebym w tej materii cokolwiek mniemał, albo też nie mniemał".
Warszawa, dnia 19 lutego 1959 r.

Wróżby Matuzalemy Puc

(Dokończenie ze str. 1)

cia Reiniera oddziaływać będą z dużą mocą na innych monarchów. Król absolutny i demokratyczny Nepalu odrzuci ze wstrętem przydomek „absolutny" i pozostanie jedynie przy demokratycznym.

A od Nepalu to już Bliski Wschód o miedzę. A tam dopiero dziw nad dziwami niby z tysiąca i jednej nocy dziać się będą.

Prezydent Egiptu Nasser wstąpi do partii komunistycznej, i dlatego sam siebie każe wsadzić do więzienia. Zamieszanie z tego wyniknie nieopisane.

Ale to jeszcze nie wszystko. Prezydent Nasser oświadczy publicznie, zaklinając się na brodę Mahometa, że miał babkę Żydówkę i zapała nagle gorącą miłością do narodu Izraela.

Rozczulony Ben Gurion nazwie swego wnuka Gamal Abdel a za jego przykładem

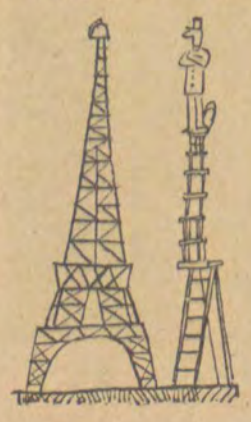

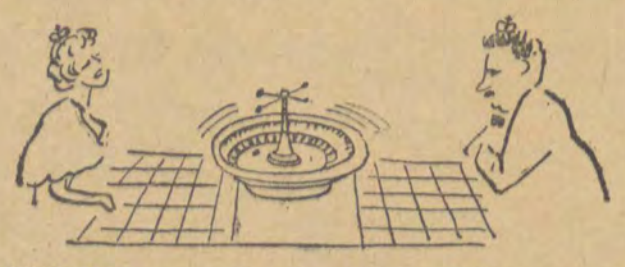

pójdzie 100 tys. pomniejszych rangą starozakonnych. Zaś walne zgromadzenie rabinów całego świata obradujące w Jerozolimie, na znak radości powszechnej, każe zburzyć ścianę płaczu a w dowód miłości dla Arabów każe ich wszystkich wciągnąć na imienne listy wybranego narodu.

Po czym na pustyni Synaj odbędzie się wielki wiec 100 milionów Arabów i Żydów. Łez radości z tej okazji tyle zostanie wylanych, że pustynia synajska w bajorko się zamieni, a Kanał Sueski stanie się żupą solną.

W związku z tym wszystkim tysiąc mędrców w Talmudzie pracować będzie aż do końca świata nad skrzyżowaniem nauk Mojżesza i Mahometa, a ich specjalnym doradcą zostanie akademik Łysienko.

Ale na Arabach i Izraelitach ludzkość się nie kończy.

Do konferencji na szczycie dojdzie. Impas tej konferencji przełamany zostanie wydarzeniem niecodziennym. Eisenhower zaproponuje Chruszczowowi partię golfa. Chruszczow łatwo zwycięży i zaproponuje z kolei kręgle. I w tej konkurencji Eisenhower przegra z kretesem. Od tej chwili prezydent USA zrezygnuje z uprawiania polityki z pozycji siły. Nastąpi porozumienie w sprawie zakończenia wyścigu zbrojeń. W myśl porozumienia zapasy bomb atomowych będą miały być przewiezione na Wyspy Wielkanocne i tam zniszczone.

Niestety, potem przez 18 lat toczyć się będzie dyskusja nad dopuszczeniem po jednym przedstawicielu Kambodży i Nikaragui do 48-osobowej komisji kontrolnej. Ale wreszcie i ta przeszkoda usunięta zostanie i wszystko dobrze będzie.

A poza tym to już same drobnostki. Kilku wielkich polityków zemrze, kilku się narodzi, kilku zostanie uroczyście ekshumowanych.

Marsjanie przylecą na latających talerzach i okaże się, że nie tylko wynaleźli już przed ziemskimi wynalazcami koło i maszynę parową, ale również jakiś nowy ustrój. Poddali przy tym rewizji dotychczasowy układ stosunków między Marsem i Wszechświatem. I jako rewidenci zostaną przesiedleni na ziemię.

Albania i Luksemburg wielkimi mocarstwami się staną.

Gen. Franco rozczulony prośbami 7 eksdyktatorów, w republice dominikańskiej przebywających, również tam się uda, by można było drugą dyktatorską czwórkę brydżową zmontować.

Miliarder grecki Onasis ofiaruje swą flotę tankowców dotąd do przewożenia nafty służących, by za darmo lemoniadę dzieciom murzyńskim woziła. Amen.

TRZECI WIERZCHOŁEK TRÓJKĄTA

OTO JEST GENEZA TEORETYCZNA ORGANIŻACJI „FAFIK"

Jeżeli masz dużo dzieci a mało wolnego czasu, wykres graficzny twojego życia wygląda następująco:

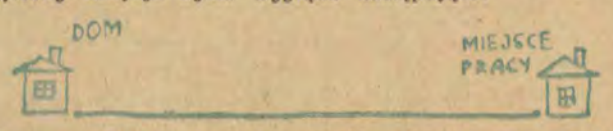

Ruchem wahadła kursujesz między tymi dwoma punktami, są to jedyne przy tym miejsca, które możesz uważać za „swoje" — masz „swój" dom i „swoje" miejsce pracy. Cała reszta jest publiczna i nawet w wysokim pracencie swej osobowości pozbyłeś się cech indywidualnych na rzecz publiczności.

Jeżeli jednak masz odrobinę wolnego czasu, wykres wygląda tak:

Ten odskok po drodze to knajpka, kawiarenka, ew. inne „drobne" przyjemności. Jeśli masz wolnego czasu więcej, grafik może przybrać obraz taki.

Zawsze jednak przebiega wzdłuż linii prostej. W tym tkwi właśnie istota dramatu. Po jakimś czasie jednostajność linii nuży (wówczas grafik wygląda następująco):

o, właśnie, człowiek zaczyna traktować oba punkty graniczne jak bramy piekła, z którego nie można się wydostać:

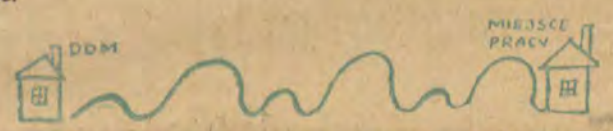

Nauka (oczywiście o znaczeniu afanasjewowskim) wskazuje jednak wyjście: teorię „trzeciego swojego miejsca" — trzeciego miejsca, które na grafiku jest trzecim wierzchołkiem trójkąta.

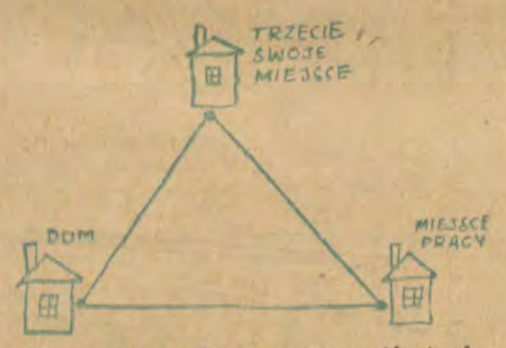

To trzecie „swoje" miejsce ma zapewnić ci równowagę oraz spędzanie czasu w sposób interesujący w miejscu, które nie będzie przygodnym lądowiskiem dla jakiegoś twego „odskoku", ale miejsce, gdzie będziesz czuł się „u siebie", równie „u siebie", jak w domu, czy w miejscu pracy.

Organizacja „Fafik" to jest klub, którego pierwszym honorowym członkiem został słynny pies „Przekroju", zmieniodawca.

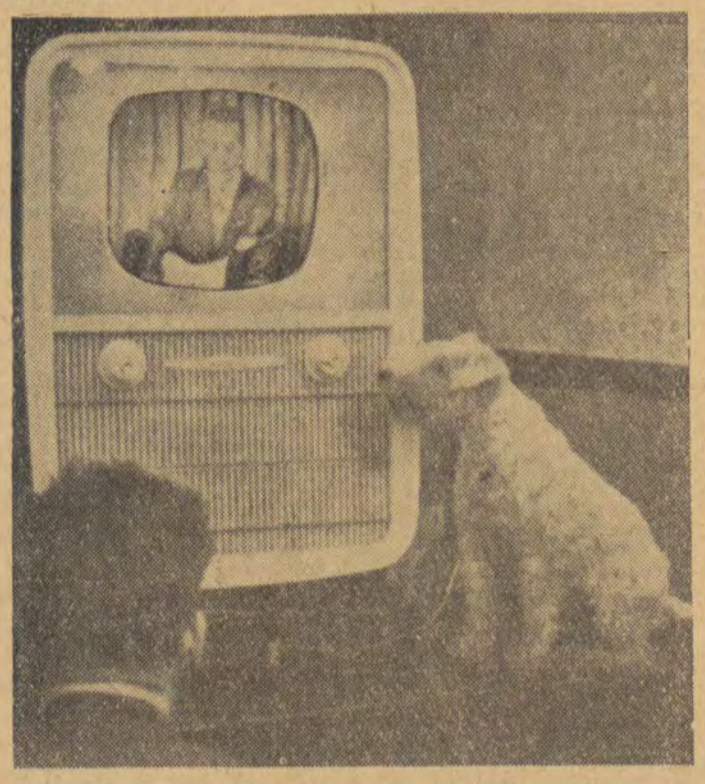

CIOCIA „TRZECIEGO MIEJSCA"

Na początku nie było „Fafika". Była świetlica i była „Ciocia" — jedyny człowiek, który na serio interesował się losem łódzkich półchuliganów i półrobotników, półlumpów i półporządnych facetów. I to na szereg lat przed słynnymi artykułami Manturzewskiego...

Śpiewał w świetlicy chór 60-osobowy, orkiestra, koło sportowe. Ciocia ocenia trzeźwo: *Warunki były specyficzne: z jednej strony rzeczywiście nie mieli co robić i świetlica stanowiła jedyną atrakcję, z drugiej strony — administracyjny nacisk zakładów pracy: Nie przyjdziesz na próbę — popamiętasz...*

Rozmawiało się o wszystkim. Przyznawali się do grand, do kradzieży, bez żenady. Operowaliśmy wzajem prostym językiem: No i co, synku? Jeszcze jeden kryminał? Zastanów się serio czego chcesz — ożenić się, mieć dom, czy gnić w czterech ścianach?

Zarząd świetlicy składał się z najgorszych bodaj chuliganów Łodzi. Idylla? Nie, po prostu wszyscy znali ich jako chuliganów...

„Ciocia" nie stwarza recept, ma po prostu wyczucie. Ustalała linię wychowawczą: ot, wychowawczy wieczorek taneczny bez alkoholu. Koleżanka „cioci" siedziała w bufecie, podchodzi „klient".

— Wody.

Ona: Pan **prosi** wody? Proszę.

Następnym razem zwracał się już:

— Pani mi da wody.

A z czasem:

— Proszę mi dać wody.

W nowym etapie, etapie wielkich przemian, świetlice robotnicze pochopni urzędnicy uznali za relikt przeszłości. Powołano się na rentowność, przystąpiono do likwidacji. „Ciocia" i jej „chuligani" nie załamali się, powstała myśl założenia „klubu". Świetlica została mimo braku dawnych dotacji samowystarczalna, dzięki płatnym wieczorkom tanecznym.

„Chuligani" marzyli o klubie. Chodziło nie tylko o nazwę. Chodziło o nowe kontakty, o nowe otoczenie. Sprawa awansu. Bo do klubu nie mieliby już wstępu chuligani. Ci, którzy w okresie „zarobkowania" zalegali salę świetlicy, wyrwani z mechanizmu prób wychowania, żywioł, niezależną zła masa.

Kiedy tworzenie klubu miało się ku finałowi, włączyła się młoda inteligencja. Z tych zakładów pracy, do których należała dawna świetlica. Konflikt był dialektyczny. I ekschuliganom coś się należało i młodzi inteligenci też nie mieli swego „trzeciego miejsca". Konflikt był nieantagonistyczny, ale naturalnie i żywiołowo ekschuligani ustąpili. Kiedy zawiązał się klub „Fafik", zostało ich już tylko dziesięciu...

Została też „ciocia", pedagog i świetny organizator. Dawniej „ciocia" dla ekschuliganów, teraz „ciocia" „Fafika", „Ciocia" „trzeciego miejsca". „Ciocia" jest człowiekiem, w którego naturze leży działać tak, żeby było lepiej, człowiek z „motorem", na każdą sytuację. Chwała „cioci"!

„Trzecie miejsce" rozwija się prawidłowo i naukowo (w znaczeniu nie tylko afanasjewowskim). Trudno się tu dostać, stąd renoma i snobizm. „Fafik" w ciągu trzech miesięcy urósł do rangi „świątyni", mimo że się tu nie dzieje nic włos jeżącego. Tu robi się to, czego nie można robić w domu, ani w zakładzie pracy, a chciałoby się robić „u siebie". Albo jedynie odchyla się od pierwszych dwóch punktów „u siebie", od domu i zakładu pracy, odpoczywając w fotelu przy kawie, oglądając inne twarze. Oto mały prospekt reklamowy klubu „Fafik".

Działa tu koło fotografików.

Najlepsza w Łodzi kawa, bufet, miło, przyjemnie.

Klub szachowy.

Koło „krótkofalowców" LPŻ.

W soboty dwa razy w miesiącu wieczorki taneczne,

Filmy wyświetlane na aparacie wąskotaśmowym.

Telewizor, magnetofon.

Płaci się składki 10 zł miesięcznie i 10 proc. marży w bufecie; klub jest samowystarczalny. Na etatach zakładu (BT) są bibliotekarze i „ciocia" — kierownik lokalu. Klubem rządzi sprężysta Rada; organizuje się spotkania literackie i koncerty. Ostatnio gościli „Jazz Believes", których występy Wydział Kultury MRN utrudniał jak mógł, bo nie była to impreza forsodojnej „Estrady": w rezultacie zbyt późnego wywieszenia afiszy nie było kompletu na pierwszym koncercie...

W dni normalne odwiedza klub około 100 osób, czasem i więcej, członkowie klubu z żonami lub przyjaciółmi; nauczyciele poprawiają przy kawie zeszyty; studenci czytają prasę. Na ścianie wiszą obrazy malarstwa współczesnego, członkowie klubu przyglądają się mówią: „Nie rozumiem niby, ale podoba mi się..." Tak to zaczyna działać barwa, kształt, kompozycja.

W ciągu trzech miesięcy Rada przeprowadziła 4 ankiety — 90 proc. odpowiedzi domagało się, żeby nic się nie zmieniło.

I tylko spośród 10 ekshuliganów, których dopuszczono do rangi członkostwa klubu, a którzy zachowują się często z większą gracją i wytwornością niż ludzie o wyższym wykształceniu, spośród tych 10 aresztowano jeszcze przed świętami dwóch pod zarzutem dokonania w klubie kradzieży. Okazało się, że nie oni byli winni; zresztą przywiązani byli do sprzętu, który sami zapracowali. „Ciocia" mówi: „Oni tego nie mogli zrobić". I nie zrobili. Ale nie widuje się ich już w „Fafiku".

TEKST: **STEFAN BRATKOWSKI**

ZDJĘCIA: **WACŁAW BILIŃSKI**

TADEUSZ PAPIER

PIERWSI DO PIEKŁA

Zapytacie kto? Odpowiadam: czytelnicy dobrych książek. Powiadano downiej: „Kto się zna na piśmie, ten się do piekła ciśnie". Powtarza się to w innej formie i w innej tonacji, i dzisiaj. Siedzę w małym, schludnym pokoiku, w którym mieści się biblioteka gromadzka w Rzejowicach. Mam przed sobą ankiety, wypowiedzi bibliotekarek i czytelników na temat „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś?" Przeglądam plon wielu rozmów z czytelnikami. Wyłania się z tej lektury dość niepokojący obraz. Niepokój podejrzany, bo nie płynący z zaskoczenia, z niespodzianki.

Wiesław Jażdżyński w poprzednim numerze*) nazwał ten niepokój gorzką prawdą, bardzo gorzką, która wskazuje na „sprzeczność między twórcą i czytelnikami". Sprzeczność ta wygląda w ten sposób, że terenowy działacz kulturalny, „który ceni literaturę, odnosi się do niej z niebywałym nabożeństwem" ma nie lada kłopot z zestawieniem odpowiednich książek, który podobałby się czytelnikom. Dla takiego działacza „mniej jest ważny fakt ukazania się na rynku Kafki, Becketta, Sartra czy wielu pozycji „nowoczesnych" niezrozumialców".

Nauczycielka w Rzejowicach wyznała, że osiemdziesiąt procent Szekspira to anachronizmy, zwietrzałe aktualia, które były zrozumiałe dla szesnastowiecznego widza, ale nie dla współczesnego czytelnika. Nauczycielka zastrzegła się, że upraszcza zagadnienie, jednakże ilustruje ono w jakiś sposób stosunki twórcy i odbiorców, które zawsze są pełne obustronnych złudzeń. Bibliotekarka w Rzgowie nie formułowała swojej opinii o współczesnej literaturze w tak drastyczny sposób, jednakże w jej wypowiedzi zawarte było pytanie, dlaczego niektóre powieści, i nie tylko powieści, lecz obrazy, rzeźby, utwory muzyczne, są niezrozumiałe, pełne tajemniczych znaków, niezrozumiałego psychoanalitycznego fermentu. Jeden ze stałych bywalców biblioteki wypowiada się, stanowczo przeciwko Sandauerowi. Dla kogoś innego za trudny jest Gomborowicz. Innego zraził tytuł książki Choromańskiego — „Prologomena do wszelkich nauk hermetycznych", a już o najmłodszym pokoleniu nie chce słyszeć.

Wobec tego co proponują nasi rozmówcy? „Współczesna powieść polska winna mieć charakter wychowawczy". „Książka aby miała powodzenie, musi być ciekawa, musi mieć interesującą fabułę i żywy tok akcji, poza tym musi być ogólnie biorąc, w tonie optymistycznym, z czego wynika konieczność szczęśliwego zakończenia, bo czytelnik wiejski bardzo przejmuje się losem swoich bohaterów i unika scen przykrych i przygniębiających". „Chłop polski to człowiek zdrowy i silny, któremu tylko siła zaimponować potrafi. Tym się tłumaczy nadzwyczajna popularność postaci sienkiewiczowskich na wsi". „Powieść o temacie politycznym — owszem, lecz umiarkowana". „Lubię powieści psychologiczne, jasno wyłożone, w których autor uzasadnia każdy czyn postaci typem jej reakcji psychicznych". Najlepszy jest realizm, wykład prosty, zwięzły, nie sztuczny — a co potrzeba więcej? Talentu!"

Czegóż potrzeba więcej? Recept tyle, ilu czytelników. Czy można się oprzeć na opinii terenowego działacza? Nad współczesną powieścią leją łzy bibliotekarze, płaczą czytelnicy, narzekają krytycy. Czytelnicy zgadzają się z krytykami, że zaledwie szczupła część produkcji literackiej jest ciekawa. Krytycy tę szczupłą część mianują „literaturą piękną" i z lekką pogardą traktują pozostałe utwory. Czytelnika, którego opinie czytujemy, najczęściej interesują te pozycje, które krytyk nazywa literaturą drugorzędną. Ponieważ powieść „o wielkich ambicjach artystycznych" jest niezrozumiała, tandety rozrywkowo-kryminalnej się nie poleca, przeto narzekania i płacz stają się coraz głośniejsze. Wobec tego czytelnik wciąż obraca się w kręgu tych samych szacownych, niezawodnych nazwisk, które niewątpliwie są literaturą.

Oto najbardziej zniszczone okładki książek: Prusa, Żeromskiego, Sienkiewicza, Rodziewiczówny, Hamsuna (Błogosławieństwo ziemi), Szołochowa, Kossak Szczuckiej, Londona (Serce kobiety), Makuszyńskiego, Kraszewskiego, Dołęgi Mostowicza. Oto nazwiska, którym przypadł honor reprezentowania, nauczania, dostarczania rozrywki.

Lucjan Rudnicki uczył się czytać, jak wspomina, na książce do nabożeństwa. Z rówieśnikami, z którymi spotykał się na pastwisku — on pasał własną krowę, oni cudze — o „sprawach wyższych" nie mógł rozmawiać, „nic nie rozumieli. „Najwyżej można im było opowiadać o świętej Genowefie lub lampie Aladyna".

Droga Rudnickiego, który sam w końcu stał się pisarzem, jest bardzo pouczająca. Kto właściwie dyktuje stosunki między twórcą a odbiorcą? Twórca czy odbiorca? Można tu mieć niejakie złudzenia. Oto dlaczego wolałbym, aby w felietonie Jażdżyńskiego cudzysłów umieszczony był nie przy słowie „nowocześni", a przy słowie „niezrozumialcy". Podpisuję się pod tym, do czego dochodzi Jażdżyński. Podpisuję się pod wypowiedziami tych, których nazywa najwierniejszymi przyjaciółmi książki i pisarza. Myślę jednak i o drugiej stronie medalu. Na III Zjeździe mówiono tak dużo o sprawach literatury i sztuki jak nigdy przy podobnych okazjach. Postulowano zbliżenie sztuki do odbiorcy. Mówiono o zrozumiałej, przystępnej sztuce, co przecież nie oznacza, że mówiono o obniżeniu poziomu artystycznego. Chcę jednak powiedzieć, że niechęć do „abstrakcjonistów i trudniaków", którą przejawiają czytelnicy, działacze i politycy nie jest chęcią zahamowania prób artystycznego eksperymentowania. Właściwa polityka kulturalna polega chyba na tym, aby rozwijali się nie tylko twórcy, lecz i odbiorcy. Jakże inaczej złagodzi się rozdźwięk między pisarzem a czytelnikiem jeśli nie przez wzajemne oddziaływanie i wychowanie? Nie można się obawiać popychania ludzi do piekła, jeśli ono wyłożone będzie dobrymi książkami.

*) „Z głębi powiatowej Polski", Odgłosy nr 12

Nasza szkółka

NIECH SOBIE FORSUJĄ GIEWONT

Dzienniki piszą o tym, jak kraj przyjął Zjazd partii i jego uchwały. Belfer nie jeździł po kraju, wywczasował sobie w jednej miejscowości i to dość beztrosko. Wie tyle co w gazetach. Ale przecież miał dwie z bliźnimi towarzyskie rozmowy o Zjeździe. Nadto pokazano mu za „jedną wódkę" pewien dokument postzjazdowy, który nigdzie publikowany nie był i nie będzie, jako że redaktorzy cierpią na chroniczny brak poczucia humoru. Ale o tym dokumencie niżej.

W dniach Zjazdu Belfer miał kłopoty. Gazety, które zazwyczaj przerzucał pół godziny tak utyły, iż ich lektura, a i to lektura z zachowaniem zasad selekcji trwała dwie godziny. Dwie godziny, ba, skąd je było brać... Zwierzył się tedy znajomemu ze swego kłopotu. Znajomy odparł: „A po co czytać? Nic ciekawego. Żadna sensacja". Był tym brakiem sensacji bardzo zdegustowany. Myślę, że to jego zdegustowanie jest odosobnione.

Rzeczywiście ostatnie lata przyzwyczaiły nas, że partyjne zgromadzenie, a ściślej ich przebieg i wypowiadane na nich treści — były sensacją, zakończeniem, powodowały długie, nocne rodaków rozmowy. Istotnie III Zjazd pozbawiony był tego „waloru". Osobiście mniemam, że wielkie to szczęście. Sądzę też w swej zarozumiałości, iż wypowiadam tu pogląd ogólnonarodowy.

Jeśli polityczne wesołe—niewesołe miasteczko z huśtawką i karuzelą zostało zamknięte — to może spowoduje to mniej frapujące rozmowy kawiarniane, ale za to spokojniejsze życie.

Sądzę, że wszyscy z ulgą przyjęliśmy ton i atmosferę III Zjazdu — bez fajerwerku i wodotrysku, atmosferę równowagi politycznej, spokoju i rzeczowości w kwestiach ekonomicznych. Niezmęczalni wielbiciele silnych wrażeń politycznych niech sobie forsują Giewont. Jest to zdrowa i nie wadząca nikomu forma wyładowania się.

* * *

W zjazdowej dyskusji zabrał m. in. głos pewien znajomy mojego znajomego. Mój znajomy był w sposób oczywisty podekscytowany faktem, że jego znajomy sobie mówi z tak dostojnej trybuny. Że zaś wszelka ekscytacja powoduje u nas natychmiastowe złośliwości, mój znajomy jął przypominać mi, co jego znajomy mówił kiedyś tam na podobne co na Zjeździe tematy, dopatrując się różnicy poglądów między obu wypowiedziami.

Nie istotne jest tu to, czy rzeczywiście znajomy mojego znajomego zmieniał czy nie zmieniał poglądy, czy duże były różnice między jego przekonaniami i czy dotyczyły spraw istotnych czy marginalnych.

Ważny jest sam fakt, iż mój znajomy traktował zjawisko zmiany poglądów jako coś dezawuującego człowieka, który je głosi.

Wydaje mi się, że nie tylko bzdurą jest wymóg, by człowiek nie zmieniał poglądów. Jeszcze większą bzdurą jest negatywna etycznie ocena faktu zmiany poglądów.

Ludzkie poglądy kształtują fakty. Fakty w czasie ulegają nieustannym zmianom. Jeśli tedy człowiek nie zmienia poglądów, znaczy, że czerpie je z własnego pępka, z własnych nadkwasot i urazów — a nie dokonuje oceny otaczającego go świata i rzeczywistości, i nie urabia sobie wedle tego do niej stosunku.

Człowiek o dosłownie niezmiennych poglądach, to zmamuciały stwór, de facto bez poglądów. Albowiem jego przekonania odnoszą się do faktów już historycznych.

Jeśli przenosi je we współczesność wynika stąd li tylko bzdura.

Istnieje oczywiście druga strona medalu. O niej dziś mówić nie będę. Istnieje też ciągła aktualność wielu faktów i zjawisk oraz generaliów i principiów człowieczego do nich stosunku, nie zmieniająca się z dnia na dzień, z roku na rok, a nawet z pokolenia na pokolenie.

Badanie etycznego prawa do zmiany poglądów to sprawa niezwykle złożona. Ciekawe, że nie ma człiwieka, który by tego prawa sobie nie rościł.

* * *

Józef Cyrankiewicz powiedział ze zjazdowej trybuny takie zdanie:

„Ani na chwilę, nawet w okresie największego zamieszania partia nie zrezygnowała ze swej kierowniczej roli ani na rzecz Związku filatelistów, ani hodowców gołębi ani na rzecz żadnego innego związku czy klubu, pełnego oczywiście wiedzy politycznej, ekonomicznej — i wiedzącego lepiej, niż partia dokąd należy Polskę prowadzić".

Otóż widziałem na własne oczy rozsyłany przez pewne koło czy klub filatelistów list pytający „dlaczego ta krzywda ich spotyka", „skąd to posądzenie", wyjaśniający, że oni lojalni, spokojni obywatele i nigdy nie chcieli konkurować z partią, ani nie powiadali, że posiadają szczególną jakąś wiedzę dokąd Polskę należy prowadzić.

Sądzę, że można im wierzyć. Ich niechęciom do działalności politycznej sprzyja fakt, iż nie wydaje się, aby byli po temu nadmiernie predysponowani. A to z racji dosyć podstawowej: braku poczucia humoru.

BELFER

EDWARD EMSKI

Pustynne szczury

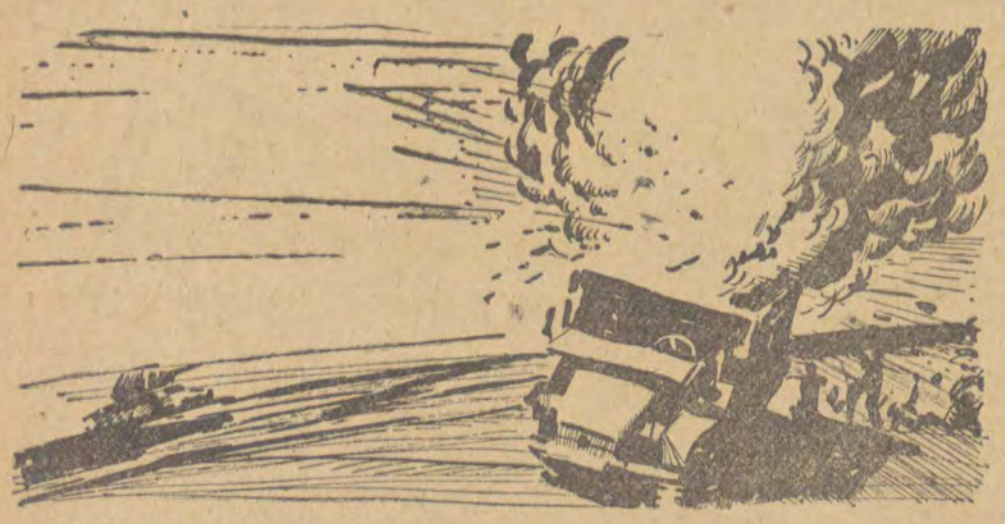

— Achtung, Achtung! Zarządzam alarm! Nieprzyjaciel w sile około stu ludzi, na trzech samochodach ciężarowych, znajduje się w obrębie twierdzy. Planuje opanowanie baterii obrony portu. Achtung, Achtung! Alarm.

— Herr Oberleutnant, jakieś wozy jadą w naszą stronę!

Dowódca 2 Baterii wytęża słuch. Tak. Teraz i on słyszy szum silników.

— Połączcie mnie z K-4!

— K-4? Łączę z Zefirem. K-4 na odbiorze, Herr Oberleutnant!

— Zefir K-2. Czy wysyłaliście do mnie jakieś samochody? Nie? Jesteście tego pewni? To w takim razie nadjeżdżają Anglicy. Dwa czołgi? Dobrze, tylko niech nie strzelają z dział, pamiętajcie, że będą kładli ogień w naszym kierunku.

— Dajcie mi pierwszą sieć.

— Uwaga jeden, drogą w naszym kierunku nadjeżdżają trzy ciężarówki. Ogień na mój rozkaz, długie serie. Słucham.

— Jeden, odebrałem.

— Jeden, odebrałem.

— Jeden, odebrałem.

— Uwaga, jeden... ognia.

Wytryskują trzy gejzery ognia, pajęczyna pocisków świetlnych spowija trzy wozy, których sylwetki przed chwilą zarysowały się w ciemności. Potężne światło reflektora przeciwlotniczego błyska i kieruje się na samochody, z których wysypują się ludzie, padają, zaczynają strzelać. Z jednego z wozów otwiera ogień karabin maszynowy, jednak po chwili milknie.

Anglicy skokami próbują zbliżyć się do niemieckich stanowisk ogniowych na odległość rzutu granatem. Morderczy ogień karabinów maszynowych, którego skuteczność zwielokrotnia oślepiające światło reflektora, przygważdża ich do ziemi. Już są prawie wszyscy ranni, wielu zabitych. A teraz ponad gwałtowną strzelaniną daje się słyszeć ryk silników i bliski szczęk gąsienic — reflektory dwóch czołgów oświetlają dodatkowo ponure widowisko. Czołgi zatrzymują się ostrożnie w odległości trzystu metrów i spokojnie, jak na strzelnicy, otwierają ogień z karabinów maszynowych.

Dwie ciężarówki palą się, posyłając w niebo pióropusze czerwonego płomienia i czarnego dymu.

Stopniowo ogień karabinów maszynowych zaczyna nacichać, jeszcze jedna, druga nerwowa seria, potem cisza. Na jaskrawo oświetlonym pobojowisku żadnego ruchu. Spokój śmierci. Jeden z czołgów powoli rusza, zatrzymuje się, znów rusza, staje. Klapa wieżyczki odchyla się, ukazuje się głowa dowódcy. Twarz ma czarną od sadzy.

Teraz rusza i drugi czołg. Kierowca zwiększa obroty silnika, powoli odpuszcza pedał sprzęgła. Ryk silnika głuszy metaliczny dźwięk pracującego rozrusznika dochodzący od trzeciego, nie płonącego samochodu angielskiego, za którego kierownicą skulił się człowiek. Z zewnątrz jest niewidoczny. Silnik jest gorący, zapala z miejsca i prawie bezgłośnie pracuje na wolnych obrotach.

Kierowcy czołgów nie gaszą silników. Zaraz i tak trzeba będzie ruszać, przespać się choć trochę.

Z okopu zaczynają wychodzić Niemcy. Jest ich niewielu. Gdyby nie byli przygotowani, opanowanie baterii nie przedstawiałoby żadnej trudności.

Reflektor przeciwlotniczy robi zygzak po niebie, gaśnie. Robi się prawie ciemno, mimo że dwa samochody w dalszym ciągu się dopalają i reflektory czołgów pozostały włączone.

Żołnierze przechodzą koło zabitych, podnoszą ich broń, oglądają ją z ciekawością.

Jedna z grup kieruje się w stronę ocalałego samochodu. Pierwszy czołg nakręca w miejscu tak, że światła jego reflektorów kierują się wprost na wóz. Gdy skręcał, musnęły na chwilę jednego z zabitych, by zaraz oddać go ciemności. Na naramienniku miał koronę i kwadrat podpułkownika armii brytyjskiej.

— Skręć no wieżę — mówi kierowca czołgu do strzelca — chcę wyleźć, można się tu udusić.

Wieża powoli obraca się w lewo.

Grupa ciekawych jest już przy samochodzie. Serię z pistoletu maszynowego dostaje prosto w twarze. Równocześnie

(Dokończenie na str. 5)

MEDYTACJE WIELKANOCNE

* Dokończenie ze str. 1 *

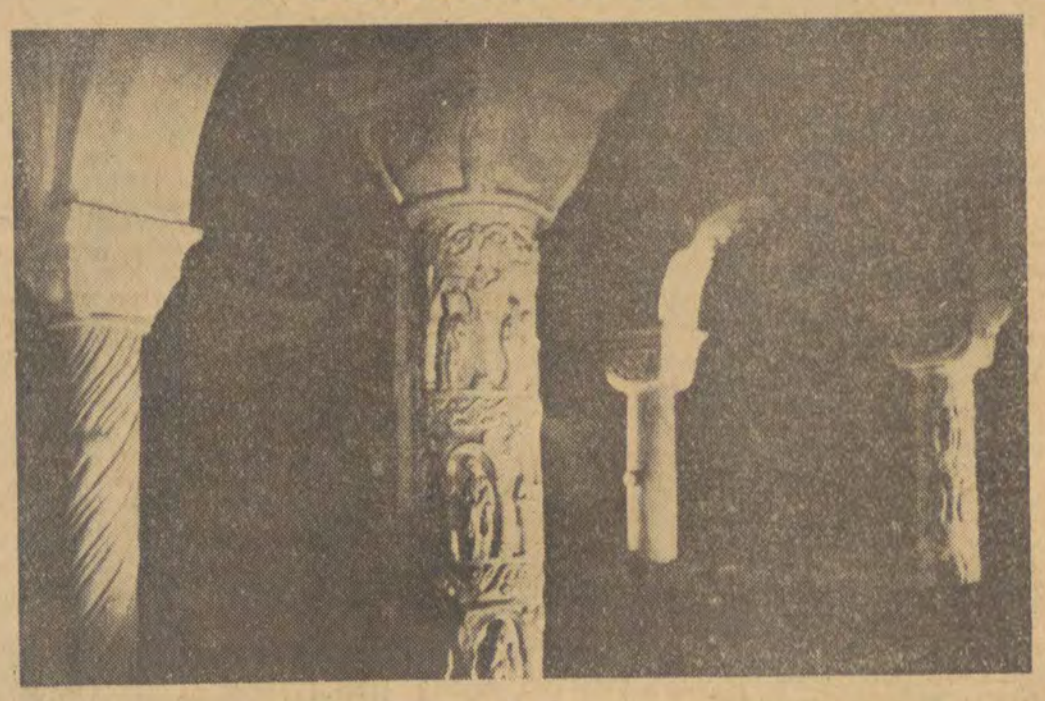

wyłaniają się cztery białe kolumny. Jedna jest zupełnie gładka, bez ozdób, druga ma trzon jakby skręcony w spiralę, ale dwie pozostałe są wypełnione rzeźbami — jedyne tego rodzaju zjawisko w całej sztuce europejskiej.

Defilują przed nami szeregi świętych, potem uosobienie cnót ludzkich, wreszcie grzechy. Oto obrzydliwe Obżarstwo. Oto Potwarz, czyli Calumnia szczująca węża. Rozpusta osłania nagie wdzięki, ale tylko po to, aby wydawały się jeszcze bardziej podniecające. Oto Pycha wyobrażona jako dziewczyna pysznięca się swym pięknym warkoczem, oto Cierpliwość z bezsilnie opuszczonymi ramionami...

Jest to jakby wielka opowieść o ówczesnym człowieku i jego ideałach. Czemu dziś twórcy tak boją się słowa: ideały? W wyrzeźbionych w kamieniu twarzach świętych, w uosobieniach cnót i grzechów, naiwnej prostocie uzewnętrznionej na obliczach tych świątków — ukazano ludzkie uczucia i ludzką dolę. Ideałem ówczesnego człowieka był Bóg. Człowiek stworzył sobie Boga na obraz i podobieństwo swoje — ta teza marksizmu znajduje dobitne podkreślenie w kamiennych płaskorzeźbach kościołka w Strzelnie. Ci święci mają twarze zatroskanych ludzi, a sam Bóg jest tak mądry i sprawiedliwy jak człowiek. Dlatego wielka sztuka przedstawiona na kolumnach w Strzelnie nie porywa tylko ludzi wierzących; ateusz przeżywa ją równie silnie jak wierzący albowiem — powtarzam — jest to opowieść o ówczesnym człowieku i jego ideałach.

Naprawdę, nie ma nic boskiego w tych figurkach świątobliwych osób patrzących na nas w Strzelnie. Może właśnie dlatego w późniejszych czasach tak piękne dzieło sztuki kazano zamurować, ukryć w cegle i tynku?

Niekiedy myślę sobie: ile jest w Polsce takich omurowanych cegłą i okrytych tynkiem kolumn, kryjących dawne wspaniałe piękno? Ileż jest zapewne starych pięknych spraw i dzieł schowanych przed naszym okiem, zamurowanych przez pokolenia, które poglądając w kierunku Boga zapominały o człowieku.

* * *

Tysiącletnia Polska jest jak ogromny stary gmach o tysiącu komnat i pokoi. Niektóre z tych komnat zamknięte są na głucho, a na drzwiach wisi pieczęć: „Świętości nie szargać". Niektóre z nich zostały czyściutko wymiecione i zastawione posągami z brązu. Tych także nie wolno tykać. W niektórych komnatach warto by otworzyć okna i wypuścić na świat stęchliznę. A w piwnicach, pełnych pajęczyn i mroku, snują się archeologowie i historycy sztuki opukują stare fundamenty z romańskiego ciosu, szukając czy nie stoją one na resztkach drewnianych pogańskich budowli.

Tysiąclecie jest okazją do opukania wielu ścian naszej ojczyzny — a może tak jak w Strzelnie odkryjemy wielką zapomnianą sztukę, nie gorszą od tej zachodnioeuropejskiej? Warto przewietrzyć niektóre komnaty, wywiać z nich kurz i mity. Mity o naszej ciągłej niższości kulturalnej.

I trzeba to zrobić nie tylko dla ukazania świetności minionych pokoleń, ale dla nas samych, dla zrozumienia siebie samego.

...Mówił mi kiedyś pewien pisarz polski: „Jeśli pragniesz pisać pamiętaj wystrzegaj się być polskim. Polskość — to partykularyzm, to zaściankowość, to zły smak i zły gust. Być polskim, to znaczy pisać źle, to znaczy, że twoje książki nie zostaną nigdy przełożone na obce języki, nie staniesz się nigdy twórcą europejskim.

A najbardziej wystrzegaj się „być sobą". Jeśli parasz się poezją — twórz pod Eliota, pod Audena, twój tomik doczeka się przynajmniej kilku recenzji, albowiem można cię będzie zaklasyfikować. Jeśli uprawiasz prozę, pisz pod „potężnych", pod Hemingwaya, wówczas powiedzą o tobie, że „polskiej literaturze przyswajasz nowe rejony".

...Ów pisarz, gdy zacznie mówić o polskiej literaturze miesza fakty i nazwiska; nie omyli się nigdy, gdy wypadnie mu dyskutować o literaturze francuskiej. Potrafi wymienić po kolei wszystkich królów angielskich, spytaj go o polskich — zacznie się plątać, wahać, mylić. Jesteśmy chyba jedynym narodem na świecie, który posiadając tak bardzo wielką dumę narodową, jednocześnie wykazuje tak wielką ignorancję w sprawach swej historii i swej kultury.

* * *

...Oglądając na Zachodzie resztki starych wspaniałych umocnień, malownicze ruiny obronnych warowni — wzdychamy: u nas tego nie ma, nawet w dawnych wiekach byliśmy krajem zacofanym.

Po zachodnich warowniach przetrwały romantyczne ruiny. Po umocnieniach z czasów Mieszka i Chrobrego — tylko niekształtne kupy gliny i ziemi, jak owo grodzisko w Tumie pod Łęczycą. I wybrzydzali się u nas; no cóż, przodkowie nasi nie umieli nawet murować, gdy tam, na Zachodzie...

A tymczasem — jak twierdzą historycy i opisuje Paweł Jasienica w jednej ze swych wspaniałych książek — od Czasów Karola Wielkiego ((789 r.) aż do wojny Fryderyka Barbarossy (1157 r.) odbyło się sto siedemdziesiąt wypraw germańskich na Polskę. Z nich jedna trzecia przyniosła sukces, a dwadzieścia zakończyło się zupełną klęską najeźdźcy. Ale historia nie zna wypadku, aby w owym czasie Niemcy potrafili zdobyć gród polski umocniony skromną konstrukcją z gliny i drewna. Wały z tramów dębowych, gliny i głazów okazały się bardziej odporne niż murowane twierdze włoskie. Jeszcze trwalsze były nieco późniejsze t. zw. konstrukcje hakowe, wynalazek „czysto polski".

Czy sądzicie, że Mieszko lub Bolesław Chrobry nie znali, nie słyszeli o wspaniałych murowanych twierdzach na Zachodzie? Ale oni nie mieli kompleksu niższości i małpowania Zachodu, uznawali — „własną drogę". Budowali tak, jak to w naszych warunkach wydawało się im najlepsze — i choć mniej efektowne — jednak bardziej obronne. I dlatego i Mieszko i Chrobry stworzyli potężne polskie państwo. Epoka małpowania obcych wzorów — to zawsze epoka słabości Polski.

Dlatego warto pojechać na grodzisko tumskie pod Łęczycę, oglądać niepozorne i niezbyt efektowne zwały drewna i gliny. Dlatego warto najpierw jechać do Strzelna, spojrzeć w twarze kamiennym rzeźbom. A dopiero potem — za granicę.

Był chyba „sobą" ów rzeźbiarz bezimienny, który wykuł w Strzelnie wspaniałe romańskie kolumny. Był chyba „sobą" skoro nie małpował obcych wzorów, lecz stworzył dzieło niepowtarzalne, na wskroś oryginalne, stanowiące wyjątkowe zjawisko w sztuce europejskiej. I my także bądźmy wciąż „sobą". A wówczas przestaniemy się martwić czy nasza sztuka jest europejską.

ZBIGNIEW NIENACKI

Zdjęcia z filmu T. Jaworskiego i K. Muchy p. t. „Tryptyk romański".

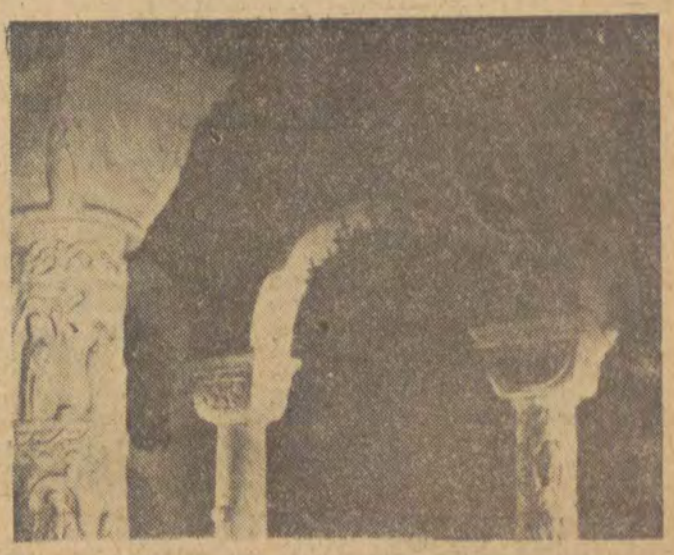

wóz gwałtownym szarpnięciem — podskokiem rusza, skręca, wydostaje się ze świateł reflektorów. Połyka go ciemność, słychać tylko zgrzyt zmienianych pośpiesznie biegów. Drugi czołg otwiera chaotyczny ogień w kierunku, z którego dochodzi ryk silnika. Nie dochodzi, a wydaje się dochodzić, bo po chwili błyski karabinu maszynowego zamontowanego na dachu samochodu zdradzają, gdzie jest rzeczywiście. Ale zanim strzelcy czołgowi zdążą skręcić w tym kierunku wieże, wóz jest już daleko, a jego karabin maszynowy milczy.

* * *

— Odzyskał przytomność? To dobrze. To świetnie! Dla naszej akcji nie ma to już jednak żadnego znaczenia. Już się wszędzie zaczęło i teraz nie możemy nic zrobić. Pozostaje tylko czekać!

— Z tego, co mówi, wynika, że nasi chłopcy poszli wszędzie w pułapkę, że nieprzyjaciel wiedział doskonale o wszystkim!

— W takim razie czym, kapitanie, wytłumaczy pan, że akcja na Barce w zupełności się powiodła? Otrzymałem przed chwilą meldunek: trzydzieści dwa samoloty spalone, poniesione straty — załogi dwóch wozów — są stosunkowo małe.

— A inne akcje, panie pułkowniku?

— Jak dotychczas meldunków brak. Bądźmy jednak cierpliwi, oni tam mają lepsze rzeczy do roboty, jak składać w tej chwili meldunki! Wyniki akcji na Barce napawają mnie otuchą. Ten Polak, to sympatyczny chłopak, ale za dużo w nim romantyzmu, niepotrzebnie mnie nastraszył. A już się wahałem, czy jednak wszystkiego nie odwołać!

— A propos, do szpitala telefonowała kilkakrotnie jakaś kobieta i pytała o jego stan. Sprawdzałem — telefonowała z rozmównic publicznych, za każdym razem z innej.

— To pewnie ta jego dziewczyna. Niech pan da jej spokój, kapitanie, już nam nic jest potrzebna; ci Włosi wzięci dziś rano wiedzieli jednak więcej, niż myśleliśmy początkowo i wszystko wyśpiewali. Niech pan powie porucznikowi, że może go śmiało odwiedzić, nic jej nie grozi — przynajmniej z naszej strony.

D. c. n.

Rakieta międzyplanetarna „Tantra" wyruszyła z Ziemi na planetę Zirdę, aby zbadać dlaczego łączność z tą planetą została zerwana. Okazało się, że na skutek zabójczego promieniowania życie na Zirdzie zamarło. Gwiazdolot znalazł się w tragicznej sytuacji. Na Zirdzie „Tantra" miała odnowić swe zapasy paliwa, co teraz stało się niemożliwe. Wreszcie astronauci zdecydowali się lecieć ku Ziemi, mimo braku paliwa. I nagle na drodze swej napotkali Żelazną Gwiazdę, która poczęła ich przyciągać ze straszliwą siłą. Brak paliwa uniemożliwiał wyrwanie się spod władzy Żelaznej Gwiazdy.

A tymczasem na Ziemi w specjalnym obserwatorium grupa uczonych odbiera na ekranach obraz istniejącej gdzieś daleko gwiazdy. Na ekranie ukazuje się istota podobna do człowieka...

Człowiek ów niezgrabnie się ukłonił. Patrzył na ekran beznamiętnymi oczami, przypominającymi obiektywy. Otworzył usta, zamiast warg widać było rodzaj klapy z miękkiej skóry. Rozległ się melodyjny i dźwięczny głos tłumaczącej maszyny.

— Zaf Flet, kierownik Informacji Zewnętrznej Łabędzia 61. Nadajemy transmisję dla Żółtej Gwiazdy STL 3388+04ZF...

Dar Wietier i Jun Ant spojrzeli na siebie ze zdumieniem, a Mwen Mas chwycił Dara za przegub ręki. Mężczyzna bowiem wymienił galaktyczny znak wywoławczy Ziemi, a ściślej — całego układu słonecznego.

Spokojny głos elektronowego tłumacza brzmiał dalej.

—...Przyjęliśmy zupełnie dobrą transmisję gwiazdy... — i znów wymienił szereg cyfr i liter — ale zupełnie przypadkowo, nie podczas audycji Wielkiego Pierścienia. Oni nie znają języka Pierścienia i niepotrzebnie tracą energię nadając swe audycje w okresie ciszy. Odpowiedzieliśmy im, gdy nadawali transmisję. Wynik będzie wiadomy po trzech dziesiątych sekundy...

Głos zamilkł.

— Trzy dziesiąte galaktycznej sekundy, czyli trzeba czekać około 600 lat — ponuro mruknął Dar. — Ciekaw jestem, po co nadali nam tę wiadomość?

— O ile dobrze zrozumiałem, gwiazda, z którą się połączyli, to Ipsylon Tukana konstelacji południowego nieba—odezwał się Mwen Mas — odległej od Ziemi o dziewiętnaście parseków. Mieści się więc ona niemal na granicy obszaru, z jakim utrzymujemy stałą łączność.

— Ale odbieramy przecież sygnały środka Galaktyki oraz skupisk okrągłych — wtrąciła Weda Kong.

— Bardzo nieregularnie. Przypadkowo lub poprzez maszyny pamięci innych planet, ogniw Wielkiego Pierścienia, tworzących łańcuch w przestworzach Galaktyki — odpowiedział Mwen Mas.

— Komunikaty nadane nawet przed tysiącami lat nie giną i w końcu docierają do nas — dodał Jun Ant.

— Czyli obserwujemy życie, które istniało (jeżeli bierzemy pod uwagę obszary centralne Galaktyki), dwadzieścia tysięcy lat temu?

— Tak, niestety. Oglądamy dawno już zmarłych i zapomnianych przez własny świat ludzi.

— Jesteśmy więc, mimo tak wielkich zwycięstw nad przyrodą, ciągle jeszcze bezsilni w walce z ogromnymi odległościami — oburzyła się Weda.

Nagle zaświeciło się zielone oko. Dziewczyna odczuła zawrót głowy na widok bezdennej głębi ekranu.

Ostro odcięte brzegi obrazu wskazywały, że jest to zapis odtworzony przez maszynę pamięci, a nie bezpośrednia transmisja.

Najpierw ukazała się powierzchnia planety. Olbrzymie bladoliliowe słońce zalewało przenikliwymi promieniami błękitną warstwę atmosfery.

— Tak, to jest słońce planety Ipsylon Tukana. Gwiazda klasy B9 o bardzo wysokiej temperaturze. Siedemdziesiąt osiem razy gorętsza od naszego słońca — szepnął Mwen Mas.

Obraz zbliżył się. Widoczny stał się łańcuch gór jakby odlanych z miedzi. Nieznany świat jaśniał jakąś dziwną, zwycięską wspaniałością.

Promienie słońca tworzyły nad konturami szczytów miedzianych gór srebrzystoróżową aureolę, która odbijała się w ciężkich fałdach fioletowego morza. Woda barwy ciemnego ametystu zdawała się być gęsta i rozbłyskiwała czerwonymi plomieniami przypominającymi skupisko żywych, malutkich oczu. Fale lizały masywny postument olbrzymiego pomnika samotnie stojącego przy brzegu. Kobieta wykuta w ciemnoczerwonym kamieniu stała z odrzuconą do tyłu głową, ręce wyciągnęła w ekstazie. Podobna była do kobiety ziemskiej. I to podobieństwo zdumiewało nie mniej od jej piękności. Postać jej była bowiem uosobieniem ideału rzeźbiarzy Ziemi. Łączyła doskonałość fizyczną z subtelnością każdego szczegółu twarzy i całego ciała. Czerwony, polerowany kamień promieniował tajemniczo jak żywy.

Pięciu Ziemian z milczącym zachwytem patrzyło na zdumiewający świat. Tylko z szerokiej piersi Mwena wyrwał się krótki okrzyk. Od pierwszego spojrzenia każdy jego nerw zadrżał w radosnym oczekiwaniu.

Naprzeciw figury, na brzegu, ciągnęły się szerokie białe schody. U podnóża ich stały wysmukłe wieże. W ekranie pojawiały się coraz nowe obrazy.

Mignęły białe mury z szerokimi tarasami i portalami z błękitnego kamienia. Na ekranie pojawiła się olbrzymia sala zalana światłem. Matowoperłowy kolor żłobionych ścian czynił wszystko w komnacie bardzo widoczne. Uwagę widzów przykuła grupa stojących tam ludzi. Czerwony kolor ich skóry odpowiadał barwie pomnika, stojącego nad morzem.

W komnacie znajdowało się dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Obie pary były różnie ubrane. Jedna nosiła krótkie złociste okrycia przypominające eleganckie kombinezony. Druga zaś para miała płaszcze szmaragdowego koloru, które okrywały mężczyznę i kobietę od głów do stóp.

Ludzie ci wykonywali płynne ruchy dotykając strun, rozciągniętych na zastawce. Ściana z polerowanego szmaragdu czy też szkła stawała się przezroczysta. Pod takt ich ruchów w kryształowej tafli pojawiały się i znikały wyraźne obrazy. Zmieniały się one jednak tak szybko, że nawet doświadczeni obserwatorzy, Jun Ant i Dar Wietier, mieli trudności z ich zrozumieniem.

W obrazach przewijała się historia planety. Szereg zwierzęcych i roślinnych form defilowało kolejno na ekranie. Jedne były bardzo dziwaczne, inne wyjątkowo piękne. Niektóre zwierzęta i rośliny podobne były swym kształtem do dawno wymarłych form życia na Ziemi.

Na ekranie przesuwały się nowe widoki: wielkie ogniska, stosy olbrzymich głazów, walki z dzikimi zwierzętami, uroczyste pogrzeby i obrzędy religijne. Cały ekran zajęła nagle postać rosłego mężczyzny ubranego w skórę zwierzęcą. Stał wspierając się jedną ręką o dzidę, drugą wyciągnął do góry. Nogę postawił na szyi leżącego potwora. Błysnęły obnażone kły, widzieli grzywę ciągnącą się wzdłuż grzbietu. Za nim śpiewały kobiety i mężczyźni, trzymający się za ręce. Obraz znikł. Znów ukazała się na ekranie sala. Miejsce pary w złocistej odzieży zajęła para w płaszczach. Nieznacznym ruchem zrzucili okrycia. Na szmaragdowym tle ściany żywym płomieniem zajaśniały ich ciemnoczerwone ciała.

Mężczyzna wyciągnął do kobiety ręce. Ona odpowiedziała mu tak pięknym i radosnym uśmiechem, że Ziemianie mimo woli także się uśmiechnęli. Tamci rozpoczęli wolny taniec. Był to chyba nie tyle taniec, ile ćwiczenia rytmiczne. Tańczący chcieli widocznie ukazać całą doskonałość, piękno i giętkość swych ciał.

Mwen Masowi zdawało się, że słyszy melodię tańca. Weda Kong ścisnęła rękę Dara. Jun Ant siedział bez ruchu, na jego wysokim czole wystąpiły krople potu.

Ludzie Tukana byli tak podobni do ludzi Ziemi, że zatracało się poczucie iż są to istoty z innego świata. Czerwonoskóre istoty osiągnęły jednak taką doskonałość urody, o jakiej marzyli wszyscy artyści ziemscy.

Taniec się skończył. Młoda kobieta stanęła pośrodku sali. Uniosła ręce i twarz do góry. Skinęła ręką. Na wskazującym palcu jej lewej dłoni ukazała się błękitna kulka. Wystrzelił z niej srebrzysty promień. Dziewczyna posługiwała się nim jak olbrzymią wskazówką. Powoli przesuwał się promień z gwiazdy na gwiazdę. Równolegle pojawiały się na szmaragdowej powierzchni obrazy pustynnych lub zamieszkałych planet. Niektóre ziały straszliwą pustką pod czerwonymi, niebieskimi, fioletowymi i żółtymi słońcami. Czasami promienie ołowianego słońca pobudzały do życia na swych planetach płaskie kopuły i spirale nasycone ładunkami elektrycznymi, pływające jak meduzy w gęstej, pomarańczowej atmosferze lub w oceanie. W światach pod czerwonymi słońcami rosły olbrzymiej wysokości drzewa z śliską, czarną korą, z wyciągniętymi do nieba miliardami krzywych gałęzi. Inne planety zalane były ciemną wodą. Ogromne, żywe wyspy ni to zwierząt, ni to roślin pływały ruszając niezliczoną ilością włochatych macek.

— Nie ma koło nich planet z wyższymi formami życia — odezwał się nagle Jun Ant.

— Nieprawda — zaprzeczył Dar — sąsiadują oni z płaską konstelacją gwiezdną. Od strony Eridanu istnieje tam układ z wysoko zorganizowanymi istotami. Układ ten wchodzi w skład Pierścienia.

— WWR 4955 + MO 3529 — podpowiedział Mwen Mas. — Ale dlaczego oni o tym nie wiedzą?

— Układ włączył się w Wielki Pierścień 275 lat temu, a tę audycję nadano jeszcze przedtem.

Czerwonoskóra dziewczyna z obcego świata strząsnęła z dłoni niebieską kulkę i odwróciła twarz w kierunku widzów. Rozpostarła ręce, jakby chciała kogoś objąć. Odrzuciła włosy do tyłu. Wargi jej poruszały się powtarzając jakieś słowa. Zamarła w tej pozycji, rzucająca w lodowatą przestrzeń międzygwiezdną gorącą ludzką wieść o towarzyszach — ludziach obcych światów.

I znów uderzyła Ziemian jej niezwykła uroda. Nie było w niej bowiem nic z rytych surowych cech czerwonoskórych na Ziemi. Jej okrągła twarz z niedużym nosem, z wielkimi szeroko rozstawionymi niebieskimi oczami i małe usta, przypominały raczej typ północnych narodowości. Gęste czarne włosy spadały miękkimi falami.

— Dlaczego oni nic nie wiedzą o Wielkim Pierścieniu? — niemal jęknęła Weda.

— Teraz już chyba wiedzą — odezwał się Dar — to co widzimy nastąpiło trzysta lat temu.

— Osiemdziesiąt osiem parseków — zabrzmiał niski głos Mwen Masa. — Osiemdziesiąt osiem... Ci, których przed chwilą oglądaliśmy, dawno już nie żyją.

I, jakby potwierdzając jego słowa, obraz cudownego świata znikł i ekran zgasł.

Przez chwilę wszyscy siedzieli bez ruchu. Pierwszy ocknął się Dar. W pośpiechu przesunął granatową rączkę. Wyłączenie słupa kierunkowej energii zbiegło się z niskim dźwiękiem stacji. Uprzedzano w ten sposób inżynierów energostacji o konieczności rozdzielenia potężnego strumienia energii. Dopiero po dokonaniu wszystkich operacji Dar wrócił do swych towarzyszy.

Jun Ant przeglądał zapisane kartki.

— Część memogramu z gwiezdną mapą należy natychmiast wysłać do Instytutu Południowego Nieba — zwrócił się do młodego pomocnika Dara.

Ten spojrzał na Juna ze zdumieniem, jakby dopiero obudzony z niezwykłego snu. Surowy uczony ukrył uśmiech. Przed chwilą oglądane obrazy rzeczywiście przypominały marzenia senne o pięknym świecie.

— Mieliście rację, Mwen, twierdząc, że wydarzy się dziś coś niezwykłego. Po raz pierwszy od ośmiuset lat zjawiła się przed nami z głębin wszechświata planeta zamieszkała przez bratnie istoty. I to podobne nie tylko przez rozwój umysłowy, ale i fizyczny. Jestem pełen radości z powodu tego odkrycia! Pięknie rozpoczęliście swoją pracę! Starożytni uznaliby to za pomyślną wróżbę...

Dar Wietier połapał się, że jest wyjątkowo wymowny. A gadulstwo uważane było w epoce Wielkiego Pierścienia za jedno z hańbiących niedoskonałości człowieka. Zamilkł więc, nie dokończywszy myśli.

— Tak, tak — odezwał się z roztargnieniem Mwen Mas.

Towarzysze spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

Może jest on zbyt wrażliwy? — pomyślał Dar.

Ale Mas wyczuł zdziwienie kolegów i natychmiast się opanował.

Ruchome schody wyniosły ich na górę. Do szerokich okien i gwiaździstego nieba, które znów było dalekie i obce.

Weda szepnęła przyjacielowi, że nigdy nie zapomni tej nocy.

— Wydałam się sobie tak żałosna! — zakończyła. Ale uśmiech jej przeczył smutnym słowom.

Dar zrozumiał co miała na myśli i gorąco zaprzeczył.

— Jestem pewien, że gdyby czerwona kobieta zobaczyła ciebie, Wedo, to byłaby dumna ze swej siostry. Naprawdę. Nasza Ziemia nie jest gorsza od ich świata. — Twarz Dara zajaśniała miłością.

— Ale tylko dla ciebie, kochany przyjacielu — uśmiechnęła się Weda. — A zapytaj Mwen Masa! — Skinęła głową na pożegnanie i znikła za ścianą.

Świtało już, gdy Mwen Mas został nareszcie sam. W chłodnym nieruchomym powietrzu rozlewało się szarawe światło. Morze i niebo miały jednakową kryształową przejrzystość.

Mas długo stał na tarasie obserwatorium wpatrując się w mało znane kontury budowli.

Na niewysokim płaskowzgórzu wznosił się olbrzymi aluminiowy łuk, przekreślony dziewięcioma równoległymi pasami. Między nimi umieszczono kremowe i srebrzystobiałe szyby optyczne. Był to gmach Rady Wypraw Międzygwiezdnych. Przed nim umieszczono pomnik pierwszych zdobywców Kosmosu. Poranek już się zaróżowił, a Mwen Mas jeszcze przemierzał balkon szerokimi krokami. Nigdy dotąd nie doznał tak wielkiego wstrząsu. Wychowany według reguły ery Wielkiego Pierścienia przeszedł w swoim czasie surową zaprawę fizyczną i z powodzeniem wykonał „zadania Herkulesa". Tak bowiem dla upamiętnienia pięknych mitów starożytnej Hellady nazywano trudne czyny wykonywane przez każdego młodego człowieka przed ukończeniem szkoły.

Dzisiaj, w pierwszym dniu jego nowej pracy, zdarzyło się spotkanie z pokrewnym Ziemi innym światem i w duszy Masa pojawiło się noś nowego. Przerażony stwierdził, że powstała w nim jakby jakaś otchłań, o której istnieniu nie wiedział przez dotychczasowe lata swego życia. Dokuczało, porywało go pragnienie powtórnego zobaczenia planety, gwiazdy Ipsylon Tukana. Nigdy nie zapomni czerwonoskórej dziewczyny, jej wołających ramion, delikatnych wpółotwartych ust!

d. c. n.

DANUTA TARCZYŃSKĄ

ŚLUBNE KARETY

Nież to razy, przeglądając relikty dawnych czasów — ciężkie oprawne w czerwony plusz ze srebrnymi okuciami lub w pożółkłą kość słoniową albumy do fotografii, napotykamy na stare, uroczyste zdjęcia przedstawiające babkę u boku ulizanego pana, jadących karetą do ślubu, naszą matkę i dziwnie obcego ojca wysiadających z karety po ślubie...

Uśmiechamy się wtedy z pobłażliwością... My nigdy... My tylko samochodem... To tak elegancko...

Święta Wielkanocne są porą największej ilości ślubów. Ruch w kościołach i przed kościołami. Zajeżdżają samochody i... karety.

Zaprzężone w parę siwych koni, czarne, lśniące, wybite wewnątrz białym jedwabiem, z wystrojonym woźnicą na koźle. W nich panny młode w białych, długich sukniach, welonach, z olbrzymimi wiązankami kwiatów. I panowie w czerni, którą ożywia kwiat z białą wstążeczką w butonierce. Śluby... „Bogate", z pompą, szumem...

Takie śluby spotyka się już tylko na Chojnach, Bałutach, Widzewie.

* * *

Tradycja karet ślubnych przyszła do Łodzi z Warszawy. Tam obrotny pan Adamski, właściciel wielkiego zakładu pogrzebowego na placu Trzech Krzyży wpadł na pomysł wypożyczania karet do ślubu. Konie pogrzebowe wypoczęte i dobrze odżywione niewiele miały pracy w ciągu dnia, mogły więc wieczorami „dorabiać" ślubami. Interes, chwycił.

W pomyślnej koniunkturze zorientował się od razu łodzianin Bocheński i założył wypożyczalnię karet przy swoim zakładzie pogrzebowym na Bałuckim Rynku. A po kilku latach było już w Łodzi ponad 100 karet w różnych punktach miasta.

Gdyby karety potrafiły mówić, opowiedziałyby mnóstwo anegdot...

Zdarzyło się kiedyś, że kareta odwiózłszy z kościoła pewną wdowę po ponownym małżeństwie pojechała prosto pod dom panny szykującej się do ślubu. Woźnica w pośpiechu zapomniał założyć wianki mirtowe w okienkach pojazdu i... panna młoda z płaczem odmówiła pojechania taką „kompromitującą ją karetą" do kościoła.

Speszony woźnica szybko usunął niedopatrzenie i wszystko odbyło się normalnie.

* * *

Pewnego razu starym zwyczajem pan młody podjechał karetą pod dom swej wybranki. Wyszła mu na przeciw orkiestra. Wszedł do środka. Po kilku minutach wrócił, stanął na progu i rzucił w głąb mieszkania: „Moje ostatnie słowo: albo jeszcze krowa i jedna morga ziemi, albo nic z tego". Odpowiedział mu chór oburzonych głosów.

Wtedy pan młody wsiadł sam do karety i pojechał z powrotem do domu.

Za cały kurs zapłacił.

* * *

Po wojnie, na Dąbrówce żenił się pewien pan. Wszystko przygotowane: kareta, kwiaty, przyjęcie.

W ostatniej chwili okazało się, że ksiądz nie udzieli ślubu, gdyż oblubieniec brał już ślub cywilny z jakąś inną kobietą.

Ponieważ panna młoda „musiała" wziąć ślub, a pan młody chciał uniknąć skandalu — wsiedli do karety.

Wprowadzili w błąd orszak ślubny, ominęli kościół, pojechali do fotografa i wrócili na ucztę wmawiając biesiadnikom, że to oni pomylili kościoły.

I w ten sposób wilk był syty i owca cała.

* * *

Pierwszym ciosem wymierzonym w egzystencję karet było pojawienie się tego prychającego, cuchnącego i kopcącego pojazdu — samochodu. W Łodzi pierwszą osobą która pojechała do ślubu samochodem była córka Scheiblera. W ślad za nią poszła bogata finansjera łódzka — kupcy, bogate mieszczaństwo, a potem i przedmieścia. I w ten sposób tradycja karet prawie zanikła. Wprawdzie zdarzają się jeszcze śluby z karetami i orszakiem weselnym także w karetach, co ma być dowodem, oczywiście pozornej zamożności nowożeńców. Ale zdarza się to tylko na przedmieściach, wśród łodzian o silnie zakorzenionej tradycji, wciąż jeszcze przekonanych że, „jak bogaty ślub to i całe życie bogate". Zdarza się jeszcze wśród napływowej ludności wiejskiej.

Coraz mniej karet wypożycza się i w efekcie mamy obecnie w Łodzi tylko około 6 wypożyczalni.

Młodzi wolą szybkie, estetyczne, wygodne i dużo tańsze samochody, niż „takie okropne i cuchnące mieszczaństwem i dorobkiewiczostwem", te karety...

Karety dopełniają swego żywota na wsi, przerabiane przez sprytnego, łódzkiego przedsiębiorcę na „resorki". Tam bogatsi chłopi jeżdżą nimi do kościoła, na targ, i do... ślubu.

Tam też można spotkać dość często karety, i wspominać o latach, kiedyś pełnych przepychu, werwy, przygód i ponarzekać trochę na szarą rzeczywistość.

paleta

Korespondencyjny Kurs Języka Plastycznego
pod redakcją HENRYKA ANDERSA

Symbol młodzieńczej wiary w siebie, naiwny, stereotypowy uśmieszek przylepiony na twarzach posągów epoki archaicznej zanika w miare dojrzewania sztuki. W początkach okresu klasycznego rzeźbę grecką charakteryzuje piękno poważne a nawet surowe — jak zwykle w życiu, człowiek, którego powołano właśnie na wyższe stanowisko, uświadamia sobie, że nową godność winien zamanifestować odpowiednią postawą. Ale na koturnach chodzi się niewygodnie. Po stylu surowym i wzniosłym pojawia się styl wytworny. Pierś bohatersko wypięta pod ordery zaczyna trochę śmieszyć. Ceni się teraz raczej dobre obyczaje, wdzięk, delikatność obejścia, subtelność uczuć, a choćby nawet namiastkę tego wszystkiego — gładką elegancję. Zamiast gromowładnego Zeusa ukazuje się Apollo grający na cytrze, zamiast wojowniczej Ateny w pełnym rynsztunku bojowym zjawia się spłoniona Wenus, która nie zdążyła się jeszcze ubrać po kąpieli. Ale najwięcej wdzięku mają małe terakotowe figurki z Tanagry — wcale nie boginie — zwykłe śmiertelniczki, tyle że wykwintne, wystrojone, udrapowane, wyfiokowane, w modnych słomkowych kapelusikach.

Średniowiecze ma również swój styl wytworny. A choć to wszystko szatańskie wymysły i wówczas umieją się poznać na niewieściej urodzie.

W połowie XIII wieku mistrz nieznany z imienia wyrzeźbił szereg posągów fundatorów katedry w Naumburgu w Niemczech. Jest to jedno z najwyższych osiągnięć rzeźby średniowiecznej. Opanowanie formy, umiejętność wydobycia indywidualnych rysów charakteru świadczą o niezwykłym na owe czasy kunszcie twórcy. Szczególnie udane są dwie postacie kobiece: „roześmiana Polka" — Regelinda, córka Chrobrego oraz piękna Uta, dumna i powściągliwa choć niewyzbyta kokieterii.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

ALEKSANDER DUMAS i inni

Tytuł tego felietonu jest co najmniej przewrotny Tak, jak Wydawnictwo zapewnia sobie wdzięczność czytelników i pewną stabilizację finansową wydając w niemałych nakładach książki Aleksandra Dumas, tak jak i ja postanowiłem zdobyć czytelnika, powołując się na nazwisko zacnego romansopisarza. Będzie zresztą o nim mowa i dalej, jako że tytuły powieści szczodrobliwego — tak go nazwijmy — mecenasa poetów widnieją w planach perspektywicznych Wydawnictwa Łódzkiego*). Plany te są wysoce interesujące i, jak sądzę, godne tego, by poświęcić im chwilę uwagi. Oto mamy więc projekt przekształcenia „Rzeczy poetyckiej", utworu o niezbyt dziś jeszcze wyraźnym obliczu, w almanach o charakterze ogólnopolskim w nieperiodycznie ukazujący się periodyk poetów całego kraju. A więc — szukajmy porównań zobowiązujących — jest nadzieja, że będziemy mieli w Łodzi pismo poetyckie, przypominające przedwojennego „Skamandra" czy chociażby „Kamenę". Oto projekt inny, tym razem nie dotyczący, literatury pięknej: opracowanie tomu — czy też wielu tomów — wspomnień robotników łódzkich. I jeszcze monografie łódzkich zakładów pracy i pamiętniki tych, którzy w Łodzi urodzili się i wychowali, i popularno-naukowe książki socjologów, historyków, polonistów. A wszystko to zechce sfinansować Aleksander Dumas, autor „Trzech muszkieterów" i „Józefa Balsamo". Bardzo mi się podoba taka teoria mecenatu. Uważam, że nic słuszniejszego ponad to, że Dumas mecenasował będzie, powiedzmy, Zbigniewowi Kosińskiemu, który jest poetą hermetycznym, a niejaki Kingston — autor, jak się dowiaduję, powieści młodzieżowych — powiedzmy, Bernardowi Sztajnertowi, którzy znów jest hermetycznym prozaikiem. Młodych poetów i prozaików trzeba wydawać, nie zważając tak bardzo, na to, czy są oni hermetyczni czy też nie. Jakże inaczej można im stworzyć szanse rozwoju? Na to jednak, by można było ich wydawać, potrzebne są pieniądze, jako że książki młodych pisarzy — z jednym tylko wyjątkiem — są wysoce deficytowe. Aby pokryć ten deficyt i coś niecoś — nie boimy się przecież tego słowa — zarobić, wydawnictwo musi wydawać i sprzedawać Aleksandra Dumas lub Kingstona. Nie widzę w tym nic złego, Dumas to przecież nie Marczyński, Kingston to zapewne nie Mniszkówna.

Wydawnictwo Łódzkie wydawało — i ma zamiar wydawać nadal — i Dumas i młodych poetów. Nie znaczy to jednak chyba, by miało zamiar stać się punktem usługowym dla dwudziestu tysięcy ludzi, pragnących wydać swoje pierwsze książki. A może dla trzydziestu tysięcy? Naprawdę, nie wiem ilu jest w Polsce młodych poetów, myślących o rychłym debiucie. Z pewnością jest ich wielu. A Dumas jest, niestety, jeden. I, choć był to autor zadziwiająco płodny, nie dłużej już niż przez trzy najbliższe lata będzie dofinansowywał młode talenty. Tak przynajmniej twierdzą dyrektorzy Wydawnictwa Łódzkiego. Prawda to dość smutna, prawdzie należy spojrzeć w oczy. Do dwóch dotychczas wydanych serii Biblioteki Poetów trzeba tyło dołożyć aż 350 tysięcy złotych. Tym kosztem można by podobno wydać dwanaście tomów prozy. Suma jest nie mała i — jak mi się zdaje — dalsze publikowanie Biblioteki Poetów, przynajmniej w tej formie, w jakiej ukazywała się ona dotąd, jest imprezą tyleż nieopłacalną co nonsensowną, zważywszy na straty nie tyle finansowe, co artystyczne, jakie poniosło wielu autorów ostatnio wydanej serii. Kierownicy Wydawnictwa Łódzkiego zamierzają więc zmienić koncepcję owej Biblioteki. Jeśli będzie ona kontynuowana, to przynosić ma tylko tomiki debiutanckie, zaopatrzone odpowiednim wstępem. Idea jest piękna, należy jednak pamiętać, że w planach Wydawnictwa na rok 1959 widnieją już tylko dwa tytuły książek Aleksandra Dumasa, a debiutantów będzie — powtarzam, według moich obliczeń — od dwudziestu do trzydziestu tysięcy. Cóż więc zrobić, by w chwili, gdy sprzedany zostanie ostatni tom cyklicznych romansów, Wydawnictwo — proszę mi wybaczyć, że wyrażę się brutalnie — nie splajtowało? Cóż zrobić — rozszerzmy to pytanie — by wydawnictwo, nie rezygnując ani z pozycji wyłącznie dochodowych, ani z pozycji wyłącznie łódzkich, stało się instytucją o znaczeniu ogólnopolskim? Takie są przecież, jakże usprawiedliwione, ambicje jego kierowników.

Niestety, w Łodzi nie będzie można wydawać ani poczytnego Hemingway'a, ani równie poczytnego Caldwella. Hemingway'a i Caldwella wydaje się bowiem w Warszawie. A nasze wydawnictwo nie ma dewiz, by płacić autorem przekładanych książek. W Łodzi będzie można wydawać, jak pragną tego redaktorzy, książki naukowe czy popularno-naukowe, omawiające problematykę wielkiego miasta robotniczego w drugiej połowie XX wieku. I będzie można te książki wydawać w bardzo pięknej szacie edytorskiej, tak jak dotychczas prawie wszystkie książki Wydawnictwa Łódzkiego. Tak czyniąc, zyskuje się nadzieję wkroczenia na ogólnopolski rynek wydawniczy. Tak czyniąc, zrywa się z obyczajami i tematyka zaścianka. To jasne. Wydawnictwo nie może ugrzęznąć w prowincjonalnych swarach prowincjonalnych sław. Pozostając małym wydawnictwem w mieście, położonym tylko o 120 kilometrów od Warszawy, musi uzyskać rangę ogólnopolską. A tej rangi nie uzyskają dla niego nawet dzielni muszkieterowie Aleksandra Dumasa. Ani oni, ani zwycięzcy konkursu powieściowego, którzy przecież nie podpisali w Wydawnictwie Łódzkim cyrografu, nie zaprzedali mu się aż po śmierć, i którzy po wydaniu jednej książki najprawdopodobniej z usług wydawnictwa zrezygnują. Wydawnictwo Łódzkie musi więc znaleźć innych muszkieterów.

Tu czas na poddanie pod rozwagę myśli człowieka szalonego. Oto ona: nie wiem, czy za lat pięć poniektórzy z tych młodych pisarzy, których tomy w wypadku wydania finansować by musiał dziś jeszcze Aleksander Dumas, nie będą autorami, przynoszącymi wydawnictwu niejaki dochód. A w każdym razie — autorami, do których książek nie trzeba będzie dopłacać 350 tysięcy złotych. Proces dojrzewania pisarza jest procesem dość skomplikowanym i w każdej chwili spodziewać się możmy eksplozji. Wymienienie nazwisk jest tu oczywiście zbyteczne, nazwiska zawsze mogą zostać zastąpione przez nazwiska tych lub innych pisarzy z jednego lub drugiego pokolenia. Tak czy inaczej, zawsze może się zdarzyć, że książka pisarza, zwanego dotąd hermetycznym, rozejdzie się nagle w nakładzie nie pięciuset a pięciu czy pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy. Ale bez zrealizowania prawa startu takich nadziei mieć nie można, stwierdźmy też, że zapewniając pisarzowi sławę, wydawnictwo zapewnia sobie imię dobrego mecenasa. Oczekując tego, zrezygnowałbym z liczenia na eksplozję trzydziestu tysięcy talentów naraz.

Oczywiście, zdania zapisane powyżej zawierają pewną dozę przesady. Być może, nie będziemy świadkami żadnej eksplozji, trzeba jednak chwalić odwagę, a nawet stawianie na młodych. Być może, Wydawnictwo Łódzkie skazane jest na chorobę, zwaną uwiądem prowincjonalnym. Przesadzając, nie żartowałem jednak. Myślę bowiem, że warto zaryzykować. Więcej. Zaryzykować trzeba. Bo albo Wydawnictwo Łódzkie mieć będzie — użyłbym tu nawet słowa niepopularnego: wychowa — swoich pisarzy, albo zostanie skazane na publikowanie książek, odrzuconych po kolei przez wszystkie wydawnictwa centralne. I albo Wydawnictwo forsować będzie pisarzy utalentowanych, albo zostanie zepchnięte do roli prowincjonalnego punktu usługowego. Nie okłamujmy się: ambicją młodego pisarza z Łodzi jest dziś wydanie książki w PIW-ie lub „Czytelniku". Nie należy się temu dziwić — podobne ambicje mają przecież i pisarze dojrzali, średniego i starszego pokolenia. Książki już dziś rozchodzą się w wysokich nakładach, przyczyniając sławy wydawnictwom warszawskim.

Tak więc od pisarzy, jak i od Wydawnictwa zależy, by za lat kilka ambicja starszego i młodszego pisarza z Łodzi — a także spoza Łodzi — było opublikowanie swojej nowej książki przez Wydawnictwo Łódzkie.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

*) *Tu przypis. Felieton ten napisałem po przeprowadzeniu długiej rozmowy z dyrektorem Wydawnictwa Łódzkiego, Aleksandrem Postołowem i z sekretarzem Wydawnictwa, Tadeuszem Jaskółą. Rozmowa ta dotyczyła zbyt wielu i zbyt różnych tematów, by udało mi się ją zamknąć w układny a elegancki kształt wywiadu. Wybrałem więc formę felietonu. Tak uczyniwszy, muszę lojalnie stwierdzić, że poważna część wypowiedzianych powyżej myśli i projektów jest niezaprzeczalną własnością moich rozmówców. Od nich też zaczerpnąłem wszystkie informacje, dotyczące planów Wydawnictwa Łódzkiego.*

J. M. R.

NOWOCZESNE MEBLE
ORGINALNE WZORY

TAPCZANY

STOLIKI
pod telewizję i radia

TOALETKI I INNE

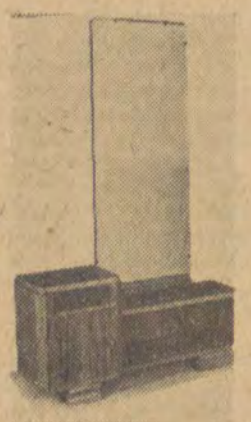

PRODUKUJE:
WIELOBRANŻOWA SPÓŁDZIELNIA INWALIDÓW
im. MARIANA BUCZKA
Łódź, ul. Jaracza 85 tel. 335-04

UWAGA: DYREKCJE ZAKŁADÓW METALOWYCH!
Spółdzielnia wykonuje również na zamówienia modele drewniane dla odlewów
WYKONANIE SZYBKIE, TANIE I SOLIDNE

OGŁASZAJCIE SIĘ W „ODGŁOSACH"

O sprawie Hanussena pisano już nieco w polskiej prasie. Ale historia tego dziwnego jasnowidza Hitlera ciągle jeszcze jest omawiana na łamach prasy światowej, ujawniane są coraz to nowe szczegóły tej sensacyjnej sprawy. Według francuskiego magazynu „Tout Savoir" z lutego 1959 r. podajemy nowe rewelacje o Hanussenie i jego tajemniczej śmierci.

Enigmatyczny Hanussen, prywatny jasnowidz Hitlera, był jedną z najciemniejszych postaci pierwszej połowy naszego wieku.

Niski barczysty brunet, o wąskim czole i krzaczastych brwiach, twardym, przenikliwym spojrzeniu prawdziwego hypnotyzera — oto jakim ukazał się Hanussen przed publicznością zgromadzoną w berlińskiej Scali w r. 1933 — tj. w roku kiedy Hitler ustalił swoją krwawą dyktaturę. Jest to okres przełomowy, decydujący zarówno dla Rzeszy, jak i dla całej Europy. W ówczesnych Niemczech panuje w wielkich miastach nędza; tysiące robotników tłoczy się przed biurami pomocy dla bezrobotnych. Na rogach ulic żebrzą inwalidzi pierwszej wojny, ubrani w mundury na których widnieją wysokie odznaczenia bojowe. Komuniści i młodzież hitlerowska ścierają się ze sobą coraz ostrzej, coraz częściej wynikają burdy i awantury uliczne. Lecz Hanussen zostaje zaangażowany na występy do Scali za bajońską na owe czasy sumę 850 marek za wieczór.

Program jego jest niebanalny i wypełnia niemal cały spektakl. Daje publiczności to, czego ona najbardziej łaknie: tajemniczość i nastrój niesamowitości. Hanussen demonstruje istnienie telepatii „odczytując" przeszłość i przyszłość pierwszego lepszego widza, odpowiadając na zapytania o ludzi bliskich, zmarłych lub zaginionych bez wieści. Widz pisał na kartce jakąś dokładną datę i oddawał kartkę w zaklejonej kopercie Hanussenowi. Ten, mając obwiązane oczy, przykładał zalepioną kopertę do czoła i powoli, krótkimi przerywanymi zdaniami, opisywał wydarzenia, które miały miejsce wymienionego dnia. „... Siódmego maja 1929... Widzę wielki budynek... jakiś orszak.. Aha, to urząd stanu... pan bierze ślub... narzeczona ma welon... jest o cztery lata młodsza od pana... Czy się nie mylę?"

Nie, nie mylił się.

Zdumiony widz potakiwał. Sława Hanussena rosła.

Trzeba przyznać, że Hanussen wykonywał swoje sztuczki z pewnością siebie, która fascynowała słuchaczy. Afisze, rozlepione w całym Berlinie, wzywały ludność do zbadania, czy w jego występach istnieje jakakolwiek możliwość oszustwa. Sam siebie nazwał nowoczesnym „Rasputinem" — cała reżyseria jego występów podkreślała niezwykłość „nadnaturalnych zdolności" jasnowidza.

Jednakże znany iluzjonista Michel Seldow, który w tym samym czasie występował w Scali (tj. dla dokładności w pierwszej połowie kwietnia 1933 r.) zapewnia, że telepatyczne seanse Hanussena były najzupełniej fałszowane. Całe sfora sekretarzy i współpracowników, ulokowanych na sali pomiędzy widzami miała za misję delikatne zbadanie zagadnień życiowych swoich sąsiadów, wyciągnięcie od nich niepostrzeżenie danych rodzinnych, dat, interesujących wypadków. Zdobyte przez siebie wiadomości przekazywali następnie Hanussenowi. Jeżeli zaś chodzi o odpowiedzi na zalepione koperty, Hanussen zbierał je w czasie przerwy co znakomicie ułatwiało mu udzielenie następnie odpowiedzi w czasie tzw. „seansu". Kręcąc się pomiędzy dziesiątkami osób, które tłoczyły się do „jasnowidza", współpracownicy Hanussena mieli dość okazji do nawiązania rozmów i wyciągnięcia najbardziej przydatnych informacji. Czasami można było te wiadomości uzupełnić jeszcze drogą paru telefonicznych zapytań. Organizacja Hanussena działała szybko i sprawnie.

On sam nie krył się zresztą zanadto z tym, że „dopomaga szansie". „Jakim sposobem mógłbym wykonywać przez parę godzin tego rodzaju eksperymenty wśród bardzo mieszanej publiczności, która nie umie się skupić, lecz głównie szuka rozrywki? Niemniej, potrzebne są zdolności nadnaturalne, aby czytać w cudzej przyszłości. Tutaj żadne kawały nie pomogą..."

Gdyż pomimo wysokiego honorarium, Hanussena nie bardzo interesowały publiczne występy. Nie był człowiekiem tłumu, nie lubił wielkich, pełnych sal. W swoim żywiole czuł się dopiero w czasie prywatnych seansów w domach arystokracji lub wielkiej burżuazji. Był też kierownikiem okultystycznej grupy, do której należeli przyszli władcy trzeciej rzeszy — Hitler, Himmler, Goering, Rosenberg i doktor Morrel, prywatny lekarz führera.

O roli jaką w tym dobranym kółku odegrał Hanussen dowiadujemy się z listów Heydricha do niego i z późniejszych zeznań hrabiego Helldorfa, dowódcy berlińskiego S. A. „Jasnowidz dawał swoim znawcom praktyczne lekcje koncentracji i sugestii, uczył ich wyzyskania sił psychicznych, drzemiących w człowieku, wprowadzał w

TAJEMNICZA

stan transu — jednym słowem kształcił ich w dość czarnej magii. Wydaje się, że większość mistyczno-politycznych wystąpień Hitlera, które robiły wrażenie ataków histerii, ma swoje źródło w szkółce Hanussena.

Jednocześnie z praktycznymi zajęciami, jakie Hanussen prowadził ze swymi „uczniami" dawał im inną jeszcze podnietę: wizję bliskiej świetlanej przyszłości, opis reakcji tłumów na ich wystąpienia, przepowiadał zdobycie władzy absolutnej. Już od roku 1929 Hanussen zdawał sobie sprawę, iż nadchodząca epoka będzie kopalnią złota dla magów, szarlatanów i jasnowidzów. I postanowił korzystać w całej pełni z nadarzających się możliwości.

Bezgraniczna wiara, jaką Hitler miał w swoje przeznaczenie była cechą charakterystyczną, która zdumiewała całe jego otoczenie — od ludzi mu najbliższych, aż do obcych dyplomatów, akredytowanych w Niemczech. Wywarła wpływ nawet na starych lisów wojskowych — na różnych Keitlów, Rundstaedtów, Halderów, którzy wobec nieprzerwanej serii niewiarogodnych posunięć, uwieńczonych sukcesami — Ruhra, Sudety, Austria — poszli bez sprzeciwu pod komendę byłego kaprala, który traktował ich jak niedorozwiniętych rekrutów.

Nie ma wątpliwości, iż Hanussen zrobił też jakieś aluzje do tragicznego końca, jaki czekał hitlerowskich awanturników. Najlepszym tego dowodem jest niełaska, w jaką popadł i śmierć, jaka go czekała. Jednakże wpoił w Hitlera myśl, iż trzeba działać szybko, natychmiast. „Nie będę wiecznie tutaj" — stało się jednym z leitmotywów führera. Pokochał nagle opery Wagnera i ich bohaterów, którzy giną w apokaliptycznych scenach pożarów i końca świata...

Tymczasem Hanussen korzystał z życia. W towarzystwie Helldorfa lub Heydricha, który był przywódcą osobistego oddziału ochrony Hitlera, przebiegał nocne lokale i organizował prywatne orgie. Niedaleko Kurtürstendammu, na ulicy Lietzemburg wybudował sobie dom o prowokacyjnej wspaniałości, który przezwał „Pałacem Okultyzmu".

Do głównej sali docierało się poprzez pokoje zapełnione sekretarkami i interesantami. Biurko „jasnowidza" stało na estradzie. na prawo od niego obrotowe biblioteki, wypełnione rzadkimi drukami. Przez otwór w oparciu fotelu świeciła lampa, tworząc aureolę dokoła głowy Hanussena. Dwa globusy, większy i mniejszy, oba oświetlone od wewnątrz, fascynowały wzrok klienta.

Ażeby dobrze zrozumieć rolę, jaką jasnowidz Hanussen odgrywał przy Hitlerze i tragedię jego własnej śmierci, trzeba rzucić okiem na sytuację polityczną partii nazistowskiej w początku roku 1933.

Hitler został właśnie przez Hindenburga powołany na stanowisko kanclerza Rzeszy. Lecz Hindenburg nie uczynił tego z lekkim sercem. Na stole leżał proroczy list starego konserwatysty generała Ludendorffa, w którym pisał: „Człowiek ten zniszczy naszą ojczyznę i doprowadzi nasz naród do bezgranicznej katastrofy. Nasi potomkowie będą pana przeklinali w pana grobie za to, iż pan do tego dopuścił".

Ale „stary człowiek" — jak popularnie nazywano Hindenburga, myślał iż znalazł sposób na Hitlera. W przyszłym rządzie miało być tylko dwóch nazistowskich ministrów, reszta zaś winna się rekrutować spośród bliskich sercu Hindenburga starych konserwatystów. Do tego Hitler miał się zobowiązać przysięgą, iż nie rozwiąże nigdy tego „umiarkowanego" gabinetu, nawet gdyby nowe wybory do Reichstagu dały nazistowskim kandydatom absolutną większość. To zaufanie do Hitlera było dowodem niezwykłej naiwności...

Wbrew radom Goebbelsa i Goeringa Hitler zaprzysiągł wszystko, czego od niego żądano. I natychmiast zaczął myśleć, jaki będzie najdogodniejszy moment dla złamania tej przysięgi.

Albowiem widać już jasno, że w marcowych wyborach zwycięży partia nazistowska. Działa cały aparat propagandowy — prasa, oficjalne zebrania, przemówienia, radio, filmy. Goebbels stał się prawdziwym mistrzem propagandy. Z silną większością nazistowską w Reichstagu jest nie do pomyślenia, aby pod pozorem jakiejś tam przysięgi, utrzymywać ministrów konserwatywnych.

Wykład na ten temat ma Goebbels przed dobraną grupą przyjaciół, należących do okultystycznego kółka Hanussena. Można jasnowidza lubić lub nie, dotychczas jednak sprawdzały się jego przepowiednie. Przecież on właśnie niedawno przewidział nominację führera na kanclerza. Obecny triumf dyktatora jest niejako i jego triumfem.

Goebbels, ażeby ułatwić Hitlerowi złamanie przysięgi, obmyślił stary, klasyczny kawał: należy zainscenizować zamach na życie führera. Stanie się wówczas bohaterem narodowym, a komuniści, którym oczywiście dowiedzie się autorstwa zamachu, zostaną ostatecznie pognębieni.

Goebbels nie musi podkreślać, iż w czasie zamachu życie führera nie będzie w niebezpieczeństwie. Wyjdzie z niego „nietknięty i pełen chwały".

Projekt ten, który Goebbels wyjaśnia spokojnie małej grupce przyjaciół, jest dzisiaj dokładnie znany. Został zbadany i opisany przez niemieckiego historyka — dziennikarza Peter Brandes'a. Wiadomo więc, że Goebbels kazał sfabrykować bombę w jednym ze szturmowych oddziałów SS, że wyznaczył młodego fanatyka, który miał się „dobrowolnie" poświęcić dla sprawy. W chwili, kiedy Goebbels opowiadał szczegóły grupce, zebranej u Hanussena, projekt przygotowywanego zamachu był już nawet znany ambasadzie radzieckiej, która przestrzegła niemiecką partię komunistyczną o grożącym jej niebezpieczeństwie prowokacji. Wilhelm Pieck, Hans Kippenberger ostrzegają opinię światową przed sfingowanym nazistowskim zamachem na Hitlera.

Ale projekt zamachu nie zostaje nigdy wykonany. Ostro występuje przeciw niemu Hanussen.

— Zamach bombowy? Przecież to dziecinada. Nikt się nie da na to nabrać. Stary, amatorski kawał! Nie mówiąc już o tym, że przez nieszczęśliwy przypadek nasz führer może nawet zostać ranny. I ilu świadków zamachu możecie mieć? Dwóch, trzech, dwudziestu? Nie, trzeba znaleźć coś, co gra na wyobraźni. Coś co całe miasto, całe Niemcy będą mogły widzieć. Jakąś wielką katastrofę, ogromny wybuch czy pożar...

Jasnowidz ociera pot z czoła. Pożar? Dlaczego nie? Doskonały pomysł. Goebbels patrzy się na Hitlera. Lekkie przymknięcie powiek. Nie zapomni się o tym pomyśle.

Hanussen triumfuje. Dokładność jego dotychczasowych przepowiedni co do sukcesów Hitlera umocniła jego stanowisko wśród przywódców nazistowskich. Hitler jest u szczytu władzy. Poprzez niego jasnowidz będzie mógł oddziaływać na losy Rzeszy, na losy Europy i świata. Jakże daleka jest droga, która zaprowadziła małego żydowskiego emigranta — nikt o tym nie wie i nie może wiedzieć — poprzez najbiedniejsze dzielnice Wiednia do górnych warstw nazistowskiego reżymu. I właśnie w tej chwili największego triumfu Hanussen popełni błąd, za który zapłaci życiem.

Albowiem następnego dnia po tej historycznej naradzie jasnowidz podejmuje „cały Berlin" w swojej wspaniałej siedzibie, w „Pałacu Okultyzmu". Eleganckie panie, dyplomaci, wyżsi oficerowie Wehrmachtu, funkcjonariusze nazistowscy. gwiazdy sceny i ekranu zebrali się w tym dziwnym domu, który stał się jedną z fortec nazizmu. Gościom swoim Hanussen zaprezentuje oczywiście okultystyczny seans. Punkt o północy lokaje otwierają drzwi wielkiej sali. W ciemności błyszczą na suficie znaki zodiaku. Hanussen siedzi na swoim foteiu, aureola zaledwie oświetla jego rysy. Ma przymknięte oczy. Na stoliku leżą zamknięte koperty z zapytaniami. Wśród nich koperty z pytaniami od Goebbelsa, Heydricha, Helldorfa.

Ale jasnowidz nie sięga po zapisane kartki. Zaczyna mówić, jak zwykle urywanymi zdaniami — widocznie ma jakąś wizję.

— Czy nasz wielki projekt uda się?... Tłum... wielkie tłumy na ulicach... Pozdrawiają nasze oddziały SS... Noc... oświetlona ogniem... ogień... wszędzie ogień... To płomień wyzwolenia Niemiec... Teraz zapalił się jakiś wielki dom... olbrzymi gmach... płomienie buchają przez okna... Gmach się wali... zapada się kopuła... to kopuła Reichstagu... To Reichstag się pali w środku nocy...

Goebbels, Helldorf i Heydrich nie wierzą własnym uszom. Czyżby jasnowidz nagle zwariował? Czy też nie zdaje sobie sprawy, że dzięki tej niedyskrecji cały Berlin wie teraz, że wkrótce będzie się palił Reichstag? Czy ten bałwan myśli, że wolno igrać z tajemnicami partii nazistowskiej?

Potentaci nazistowscy bez słowa opuszczają „Pałac Okultyzmu". W sali panuje milczenie. Hanussen powoli „budzi się" z hipnotycznego uśpienia. Goście zbierają się do odejścia. Nikt nie żegna się z panem domu. Jasnowidz nie rozumie tego, co się dzieje. Czyż nie spełnił raz jeszcze swego zadania, czyż nie przepowiedział tego, co się wkrótce stanie?

Niedługo zrozumie, jaki błąd popełnił. Już nazajutrz, po przedstawieniu w Scali, nie czeka na niego wspaniały Cadillac, aby go odwieść do któregoś z możnych przyjaciół. Nie, Hanussen, podniósłszy kołnierz u palta, chyłkiem skrada się ulicami Berlina. Wygląda jak człowiek, który się boi. Może już wie — ostatecznie jest przecież jasnowidzem — że krok w krok za nim dąży morderca?

8 kwietnia 1933 „Völkischer Beobachter" zamieścił krótką notatkę: W małym sosnowym lasku pomiędzy Neuhof i Baruth, drwale odkryli trupa nieznanego mężczyzny, pogryzionego przez dzikie zwierzęta. Nie znaleziono przy nim żadnym papierów. Policja zdołała ustalić, iż trup ten musiał leżeć w lasku już od paru dni, nie zdołała jednak ustalić identyczności nieboszczyka. Istnieje przypuszczenie, iż może chodzić o zwłoki Hanussena, znanego ze swych seansów telepatycznych".

Taki był koniec człowieka, który myślał, iż dzięki swym okultystycznym zdolnościom zdoła wywrzeć wpływ na losy Rzeszy.

Opracował: J. K.

ŚMIERĆ JASNOWIDZA

MINIATURY

Trzej przedstawiani dziś przez nas młodzi prozaicy — jeśli Romana Łobodę, Zbigniewa Kosińskiego i Bernarda Sztajnerta nazwać można prozaikami — prezentują trzy różne poetyki, trzy sposoby widzenia świata. Jeśli zdecydowaliśmy się przedstawić ich razem, to dlatego, że wspólna im jest niechęć do prozy fabularnej, do prozy opowiadającej. Ich prace są zapisami poetyckimi, stoją gdzieś na granicy poematu prozą i mikropowiadania; to próby — sądzę, że udane — podbicia przy pomocy zdań prozatorskich obszarów królestwa wyobraźni.

Nic nowego pod słońcem. Proza, kreująca nowe światy, ma już, także i w Polsce, dość bogate tradycje. Mimo to, nie wiem, czy mikropoematy młodych znajdą chętnych czytelników. Być może, spotkają się one z protestem, a nawet z wyraźną niechęcią tych, którzy przywykli do fabuł tradycyjnych. Ale groteski Kosińskiego czy Sztajnerta nie są tylko eksperymentem formalnym. Przedstawiani przez nas pisarze pragną — to jest dla mnie oczywiste — orzekać o sprawach tego świata. I dlatego właśnie postanowiliśmy przedstawić ich naszym Czytelnikom.

J. M. R.

ROMAN ŁOBODA

Gadithi

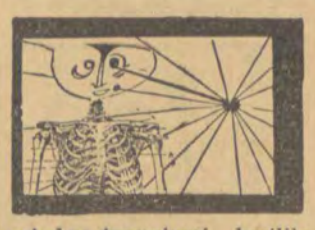

Gadithi czuł się nieswój. Chwycił się za głowę, nogę. rękę. Tak. I dalej trawiony wątpliwościami na białym obrusie rozłożył serce, wątrobę, trzustkę.

Kelnerzy pobłażliwie kiwali głowami. Nie takie rzeczy widzieli.

Czuł się nieswój. Gdzieś między trzewiami kwiliło boleśnie jego JA nieujawnione nawet na białym obrusie.

Gdy wreszcie odnalazł siebie rozproszonego między sprzętami, kilimami, książkami — nie miał gdzie tego umieścić. Wątłe ciało opuściło go zniecierpliwione na zawsze.

Kelnerzy wynieśli nieboszczyka. Gadithi bardzo osamotniony pozostał.

BERNARD SZTAJNERT

Pijalnia piwa

Oni naprawdę tu stoją przy wilgotnych stołach i piją piwo z przezroczystych kufli, z matowych butelek. Noszą ciemne dwurzędowe marynarki i czerwono-czarne krawaty o niewielkich węzłach. Po twarzach ścieka im pot. Jeden ma białą letnią marynarkę z krótkimi rękawami; macha w powietrzu wolną ręką jak skrzydłem i krzyczy, nachylając do przodu ptasią twarz ze śpiczastym nosem. Inni mówią szeptem, palą papierosy, milkną na długie chwile, godność jest kształtem ich obojętności.

Nie wiem, czy ktokolwiek z nich wie o czerwonych, białych i zielonych papierkach gromadzących się w skrzynkach pocztowych ich mieszkań. Karteczki z napisami: zgłosi się pan w dniu, z napisami: stawiennictwo obowiązkowe, z napisami: wezwanie. Przeczuwają jednak coś chyba, bo nieoczekiwanie cisną się do drzwi pośpiesznie płacąc kelnerce za piwo, po to tylko, by za chwilę zawisnąć palcami na prętach niewidzialnej kraty zagradzającej wyjście z pijalni.

Rak

Rak jest konduktorem tramwajowym. Gniewny, czerwony popycha podróżnych. Cofa się jednak przed bladym kontrolerem w drucianych okularach. Mizerny kontroler atakuje początkowo żółtego sępa. Bierze z jego szponiastych palców bilet i woła triumfalnie: — Nie przecięty, nie przecięty! — Kontroler wiedzie sępa do raka przez ciżbę. — Ależ podałem panu konduktorowi abonament do przecięcia! — skrzeczy sęp przechylając głowę. I wtedy właśnie rak cofa się z wytrzeszczonymi oczami przed zimnym spojrzeniem kontrolera. — Nieprawda, nie dawał pan biletu! Gdyby pan dał, przeciąłbym szczypcami, szczypcami! — Stale cofając się, wyciąga przed siebie błyszczące szczypce i machinalnie, machinalnie porusza nimi w powietrzu.

ZBIGNIEW KOSIŃSKI

Co słychać w Inezji?

Z dawien dawna w Inezji trwa spór. Staroinezyjczycy twierdzą, że przy powitaniu obowiązkiem każdego (oprócz podania ręki) jest wygłoszenie sakramentalnego zawołania „dzień dobry". Nowoinezyjczycy nie mają nic przeciwko powitaniu, twierdzą tylko, że wystarczyć winno samo uściśnięcie dłoni.

Proszę sobie wyobrazić: Staroinezyjczyk podchodzi do Nowoinezyjczyka (zazwyczaj do siebie nie podchodzą) podają sobie ręce i kiedy pierwszy z nich mówi „dzień dobry", drugi milczy. To nie jest sprawa błaha, tym bardziej że z jednej strony trafiają się wyjątkowo uparte jednostki, z drugiej zaś wyjątkowo agresywne. To nie jest sprawa błaha, kiedy jeden z osobników do tradycyjnego „dzień dobry" dodaje słowo „panu" a drugi uchwyciwszy podaną sobie dłoń szczypie partnera w co boleśniejsze miejsca. Gdy spytacie, zapewne ze zwykłej ciekawości, pierwszego napotkanego Inezyjczyka, jaki sąd posiada o całej tej nieprzyjemnej sprawie, odpowie wam: „obiektywny". Zdziwienie wasze wyjaśnia, ale tylko częściowo, fakt, że istnieć może kategoria Inezyjczyków „obiektywnych", która nie podaje ręki, a także nie mówi „dzień dobry".

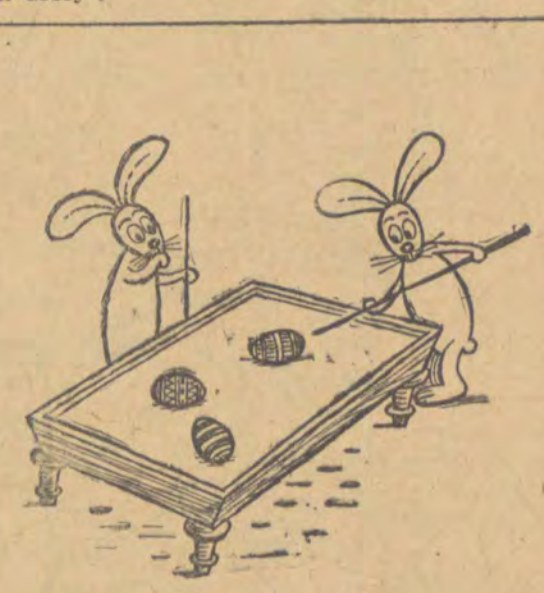

Rys. Karol Baraniecki

ŚWIĄTECZNY KONKURS „ODGŁOSÓW“ ZAGUBIENI WYCIECZKOWICZE

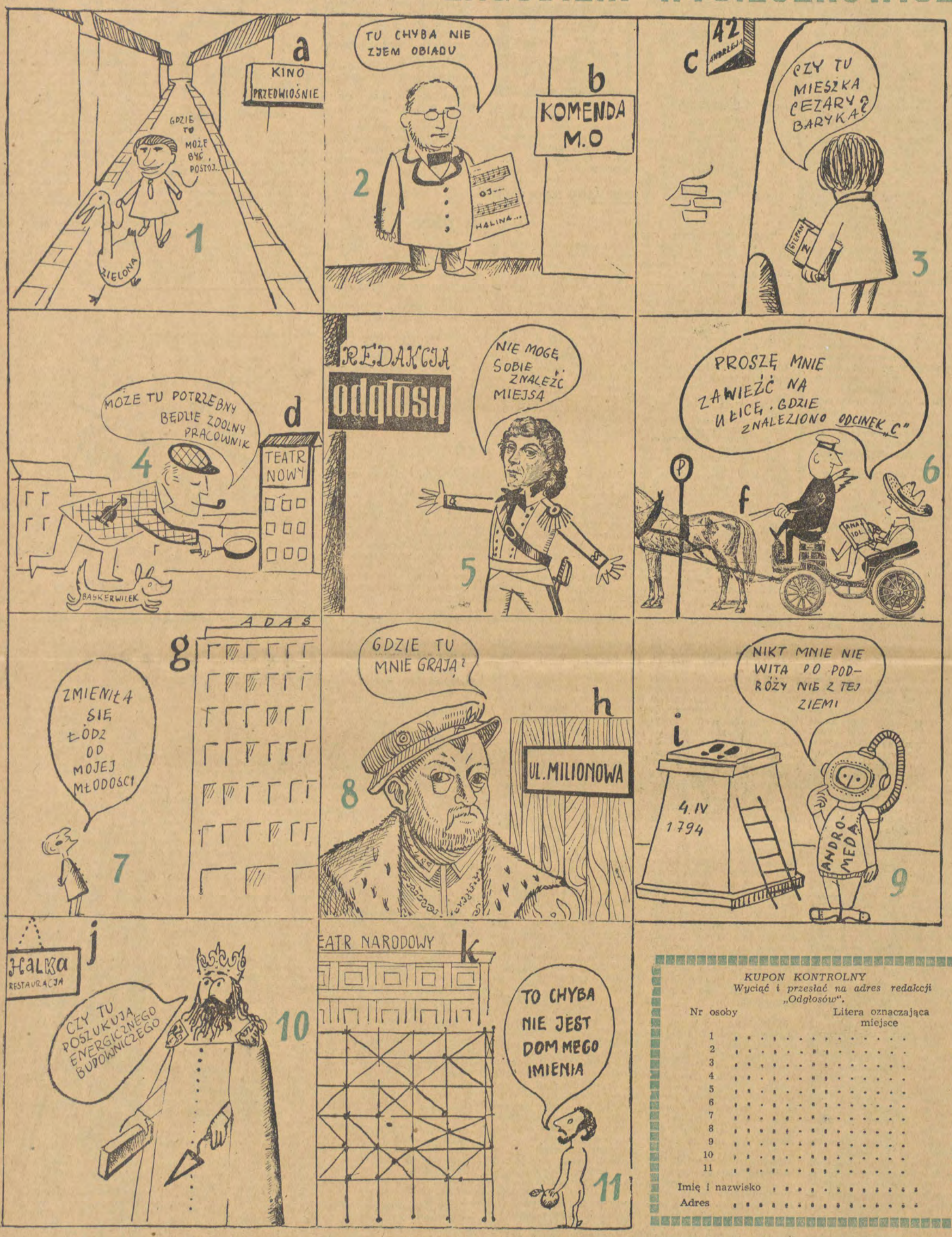

KUPON KONTROLNY
Wyciąć i przesłać na adres redakcji „Odgłosów“.

Nr osoby	Litera oznaczająca miejsce
1	
2	
3	
4	
5	
6	
7	
8	
9	
10	
11	
Imię i nazwisko	
Adres	

Na okres świąteczny Generalna Dyrekcja Przedsiębiorstwa Kosmicznego „Zaświaty“ — udzieliła urlopu okolicznościowego kilkudziesięciu znanym osobistościom. Część urlopowiczów, dokładnie 11 osób — postanowiło odwiedzić Łódź.

Dlaczego wybrali nasze miasto? Przyczyny były różne. Jedni uznali, że mają tutaj coś do zrobienia. Inni — bo dowiedzieli się, że są tu miejsca, związane z ich nazwiskiem, twórczością, zasługami.

Pech chciał, że po drodze z Koluszek zawieruszył się gdzieś przewodnik, który miał ich po Łodzi oprowadzać. I stało się tak, że wycieczkowicze zabłądzili, żaden z nich nie trafił pod właściwy adres.

Proponujemy uczestnikom naszego konkursu zabawę w przewodników. Chodzi o wskazanie zagubionym właściwych miejsc, które chcieli odwiedzić.

Dla ułatwienia podajemy, że wśród „urlopowiczów jest czterech pisarzy, jeden król, cztery postacie fikcyjne (z książek i filmu), jeden kompozytor i jeden naczelnik.

Odpowiedzi nadsyłać trzeba na kuponie konkursowym, obok kolejnego numeru osoby — wpisujemy odpowiednią literę alfabetu, oznaczającą miejsce.

Wypełniony kupon należy wysłać na adres redakcji, do dnia 12 kwietnia. Pomiędzy autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cenne nagrody.

Ambona satyryka

Nosy na zamówienie

Już wróble śpiewają o tym, że uczeni wydłużają pacjentom nogi, przeszczepiają im palce nóg do rąk i odwrotnie; wycinają kawałki brzucha, zwijają je w kłębek i osadzają na miejscu nosa. Jest tajemnicą Poliszynela, że uczeni umieją w probówkach utrzymać przy życiu tkankę mięśniową.

Niedalekimi są czasy, kiedy w stołówkach będziemy hodować kotlety!... będziemy mieć tyle członków, ile tylko dusza zapragnie.

Spodoba nam się nos Kleopatry, już usłużny chirurg inplantuje nam nosek przepięknej oblubienicy Cezara i Antoniusza. Spodobają nam się nosy Grakchów, piśnijmy tylko słówko, a zaraz inny chirurg osadza nam na twarzy nos jednego z braci trybunów... Narzekamy, że mało, prosimy o jeszcze, już usłużny plastyk-chirurg wyciąga ze słoika nos drugiego Grakcha i przyszywa nam go na poczekaniu... Mało nam dwa nosy? proszę, dodajemy wam trzeci nos... z tyłu głowy.

Mając pod ręką pożywkę profesora Carella, możemy sobie pozwolić na jeszcze większą ilość nosów. Kłopotów z przyprawianiem tych organów nie mamy, gdy jesteśmy w posiadaniu „Maści Witaminowej Imienia Profesora Kuliabki". Nos po użyciu tej maści zrasta się tak cudnie, że najbystrzejsze oko małżonki nie potrafi odszukać na twarzy śladów zrośnięcia.

Mamy więc nosów, ile tylko chcemy mieć. Hodujemy je w słoju i na zawołanie zakładamy na twarz odpowiednią ozdobę.

Jeden nos, czcigodny, zawiesisty — na akademie; drugi, dumnie wzniesiony — na bankiety; trzeci, potężny jak trąba jerychońska — do wina i ataku; czwarty — do spuszczania go na kwintę; piąty — do wtykania go tam, gdzie należy, a więc w sos; szósty—tam, gdzie nie należy, to znaczy do cudzego prosa; siódmy — by nie mieć mniej od innych; ósmy — aby mieć więcej; dziewiąty — na wszelki wypadek; dziesiąty — tak sobie; a jedenasty... jedenasty — tylko na tabakę.

I pomyślcie: czy nie warto chwalić uczonych?... Nie wielbić ich bardziej niż przeróżnych nierozumnych Peryklesów, analfabetów Karolów Wielkich i żołdaków... Napoleonów?

Tylko pociągać za te ich uczone wąsiska, podrzucać na ich cześć kapelusze!... Niech się rodzą na kamieniu i rozmnażają... Niech biją króliki doświadczalne... Byleby prędzej i szybciej, byle by szybciej i prędzej dopchali zmurszały i nieporządny świat do pełnego triumfu nauki. Amen.

ZYGMUNT FIJAS

Miszmasy

Pod redakcją Jana Huszczy

Sprawozdanie z podróży

Pozazdrościłem Piechalowi Paryża i na dwa dni skoczyłem do... Poznania. Okazję stanowił wieczór autorski w Pałacu Działyńskich (pięknie odrestaurowanym!), a poza tym od kilku tygodni szukam taniego, lecz o właściwych rozmiarach, letniego płaszcza. Wiele w naszym kraju zachodzi korzystnych przemian, ale ciągle najtrudniej zaobserwować je w handlu; w podaży, cenach i dystrybucji. Ot, choćby głupie płaszcze czy półbuty; klienci, poszukujący mniejszych rozmiarów, niż przeciętne, lub większych, niż przeciętne, co pewien czas robią wrażenie lunatyków. Lunatycy nie wiadomo po co wyłażą na dachy, klienci „nietypowi" nie wiadomo po co zaglądają do sklepów w różnych miastach.

Niestety, nie znalazłem płaszcza nawet na Krajowych Targach, choć odbywała się tam „preselekcyjna" — jak głosiły napisy — sprzedaż odzieży i obuwia. Z mego więc punktu widzenia Targi nie udały się!

A teraz trochę „pouogólniajmy"... Już na pierwszy rzut oka poznański handel przedstawia się znacznie korzystniej niż łódzki. Wyższa kultura handlu i znacznie lepsza podaż. Nawet wieczorem widziałem w piekarniczych sklepach pełny, urozmaicony asortyment pieczywa. Spróbujcie widzieć to w Łodzi!

W restauracjach, kawiarniach (w których zawsze można znaleźć jakiś wolny stolik!), w barach mlecznych i sklepach stale się słyszy egzotyczne słówka „dziękuję" i „proszę". Spróbujcie usłyszeć to w Łodzi!

Wracając, przeglądałem „Trybunę Ludu" i znalazłem w niej wystąpienie ob. Janiny Kalinowskiej na III Zjeździe. „Trybuna" w taki sposób omawiała poruszone przez nią sprawy łódzkiego handlu:

„Mówczyni zwraca uwagę na braki w zaopatrzeniu i organizacji handlu, na uciążliwe kolejki przy zakupach. Apeluje do Ministerstwa o wejrzenie w te sprawy i spowodowanie koniecznych zmian"...

Czas najwyższy na istotne posunięcia w łódzkim handlu! Zdecydowane posunięcia natury reorganizacyjnej i personalnej!

Poznań przecież — pozwolę sobie to przypomnieć — znajduje się w granicach naszego kraju, obowiązują go te same normy, prawa i zasady. Nic więc nie stoi na przeszkodzie, żeby w naszym mieście było tak, jak choćby w Poznaniu. Jak długo jeszcze klient ma być — rzecz jasna, że nie wszędzie i w Łodzi — złem koniecznym?

P. S. 1. W Poznaniu także ukazują się trzy pisma codzienne. Wszystkie korzystają w różnym stopniu ze współpracy z literatami i obie strony nie wychodzą na tym źle!

P. S. 2. Jeśli chodzi o poznańskie lokale gastronomiczne, to tylko w... dworcowej restauracji „Orbisu" kelnerom nie śpieszyło się. Choć miałem ponad godzinę czasu do odejścia pociągu, na wszelki wypadek zrezygnowałem ze spożycia obiadu, zadowalając się kawą. Kawę w Poznaniu wszędzie podaje się dobrą, zaparzaną w rozmaity sposób, ze śmietanką i bez...

Przeciwko Trezowi francuska krytyka wytoczyła ostatnio szereg zarzutów. (Warto wiedzieć, że we Francji — przeciwnie niż u nas — prace czołowych humorystów są systematycznie recenzowane i dyskutowane, nawet w najpoważniejszych pismach). Oskarżano więc Treza, że stał się płytki, że sięga do arsenału zawsze pewnych, lecz mało ambitnych tematów „strip-teasowych" — i że w sumie obniżył loty.

Pozostawmy jednak na boku te utyskiwania, bo przecież wolno nam zająć się wcześniejszymi i lepszymi pracami młodego rysownika francuskiego, wybranymi z kilkuletniego dorobku. A żarty te nie dają powodu do narzekań: Trez należy jednak do tych nielicznych humorystów, którzy potrafią w twórczy i wcale nieślepo naśladowczy sposób — wykorzystać doświadczenia wielkiego Saula Steinberga.

Trez — podobnie jak Steinberg — zastępuje stosunki między ludźmi, komizm międzyludzkich stosunków — „współżyciem" przedmiotów. Nieoczekiwane, frapujące zestawienia rekwizytów — to właściwe źródło komizmu tych rysuneczków. Zresztą — rzecz tłumaczą całkowicie cytowane obok żarty: oczy — reklama optyka — zasłaniane na noc żaluzją, niby powiekami albo ów strach na wróble w kwietniku...

Ten rodzaj dowcipu odrzuca wszelkie akcenty satyryczne. Trez nie zamierza z niczego szydzić, nikogo zwalczać. Głównym, jedynym i ostatecznym celem staje się ś m i e c h, wyzbyty gniewu, ironii, poczucia wyższości.

Twórczość Treza, niezależnie od tych czy innych ostatnich kompromisów z łatwizną — pozostaje przykładem prawdziwie nowoczesnego humoru. Starą, wytartą regułę „g r y s ł ó w" — wyparła „g r a r z e c z y". Dlatego te żarty tak doskonale obywają się bez komentarza.

J. Wey.

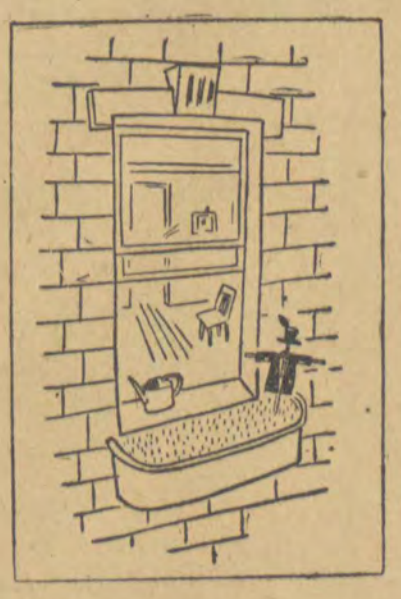

TREZ

Redaguje Zespół ○ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ○ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 ○ Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,— zł, kwartalnie 12,— zł. ○ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ○ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk RSW „Prasa" - Łódź. Żwirki 17 Z. 180. III. 59. S-1

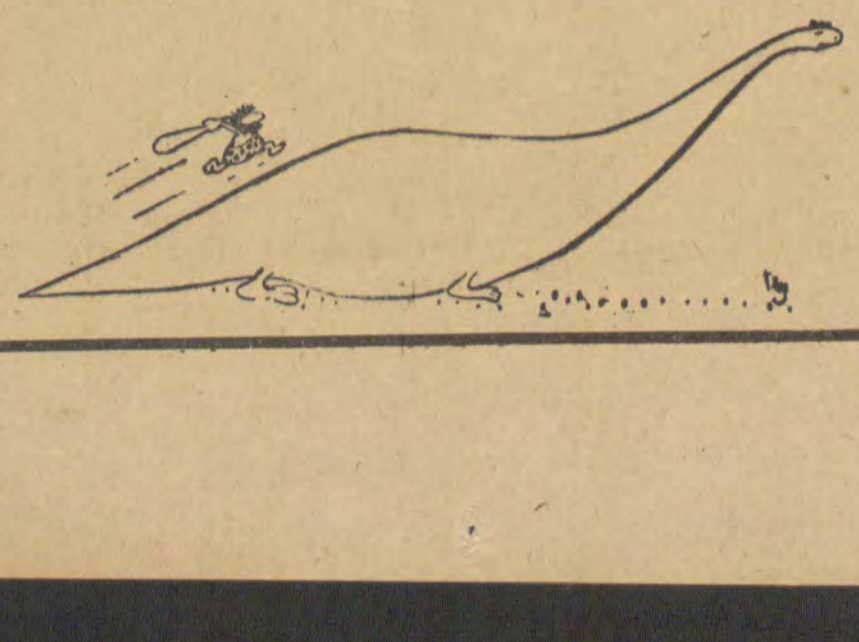

Biblioteka popularna!

Piętnaście książek w kartonowej oprawie

!!!ZA 100 ZŁOTYCH!!!

Tylko do dnia 20 kwietnia br. można zgłaszać prenumeratę na komplet wydawnictw Biblioteki we wszystkich księgarniach „Domu Książki"! Prenumeratorzy otrzymują w dwóch terminach (do 20. VI) i do 20. XII) następujące pozycje (zmianę kolejności tytułów zastrzega sobie Wydawnictwo):

Aretino:	„Jak Nanna swą córeczkę Pippę na kurtyzanę kształciła"
Mniszkówna:	„Trędowata"
	„Ordynat Michorowski"
Sagan:	„Pewien uśmiech"
	„Witaj, smutku!"
Caldwell:	„Poletko Pana Boga"
Samozwaniec:	„Z mojej sypialni"
Boccaccio:	„Dekameron" (wyd. skrócone)
Pitigrilli:	„Przerwana ciąża"
K. T. Wand:	„Coltem po głowie"
	„Breloczek z arszenikiem"
Kamyczek:	„Jak skutecznie uwodzić?" (poradnik).
Weininger:	„Płeć i charakter"
	„Sennik egipski" (praca zbiorowa)

TYLKO do 20. IV! TYLKO do 20. IV!

Wiązanka świąteczna

Święto. Pogoda. Pisanki. Wiosna.
I rym do wiosny, że jest radosna.

Idzie z wizytą do Kwiatkowskiego
cała rodzina Nowakowskiego.

Łubniewicz, Piwko, Półko, Pietraszek
mają przed sobą wina pięć flaszek.

Już trzecią babkę krajać zaczyna
dla swoich gości ciocia Lucyna.

Zgoła z Pisarkiem, Szuster z Typciakiem
wojują dzielnie z tłustym prosiakiem.

Panna Kiszulko, Szemraj Cezary
szarpią od rana struny gitary.

W odświętnych strojach dążą chodnikiem
Wrębiak z Basistą, Jaeschke z Kranikiem,

Koprowski z Dejmkiem, Butrym z Tacytem,
Mater z Łapińskim (na okowitę!)...

Z Bedryńską Petri, Kluczyk z Kłopotkiem,
Fijas z Niecieckim, Pichta z... nagniotkiem!

U Bohdziewicza próbują szynki
Paweł Siódemka i trzy kuzynki.

Nowicki (który?), Huszcza i Dzwonek
do lasu poszli na cały dzionek...

Święto. Pogoda. Pisanki. Wiosna.
I rym do wiosny, że jest radosna...

MIĘDZYNARODOWY KLUB PRASY I KSIĄŻKI

zawiadamia,

iż 1. IV br. po raz pierwszy wystąpi orkiestra smyczkowa łódzkiego oddz. Zw. Literatów Polskich pod batutą G. Timofiejewa.

Słowo wiążące: Horacy Safrin

Początek o godz. 19!

Wstęp wolny!

* * *

Jutro ma przybyć do Łodzi, po kilkudniowym pobycie w Warszawie, szwedzka księżniczka Margaretha. Jak nas poinformowano, urocza księżniczka przyjeżdża do naszego miasta celem dokonania wiosennych zakupów w sklepach konfekcyjno-odzieżowo- pasmanteryjnych. Księżniczka ma zatrzymać się w Grand Hotelu i w godzinach popołudniowych będzie udzielać autografów młodzieży szkolnej oraz monarchistom.

* * *

Wszystkim swoim Czytelniczkom i Czytelnikom oraz Pacjentom Wesołych Świąt życzą „MIESZANINY".

Sukces raczej niespodziewany

Drugie odkrycie Brigitte Bardot

Były już na naszych ekranach filmy z Brigitte Bardot i były już rozliczne recenzje traktujące o tych obrazach. I zawsze przewijał się w każdym, najmniejszym nawet sprawozdanku wciąż ten sam motyw (choć wyrażany coraz to innymi słowy). Sens tego motywu sprowadzał się do jednego; że Brigitte Bardot — to owszem, ładna dziewczyna, ale aktorka, to z niej żadna. A jeden z warszawskich recenzentów tak się w temacie wyspecjalizował, że nawet studium duże napisał i wywiódł odkrycie prawdy o pokoleniu (tak!), a wszystko na podstawie własnych obserwacji poczynionych na osobie i aktorstwie Brigitte Bardot.

Tymczasem owe osądy aktorstwa Brigitte Bardot — okazały się co najmniej lekkomyślne. Przekonuje o tym film „Na wypadek nieszczęścia", gdzie Brigitte występuje obok Gabina i tworzy naprawdę niecodzienną kreację. Postać Odette Maudit, młodej dziewczyny, kochanki podtatusiałego adwokata (Gabin) i zarazem kochanki młodego studenta (Interlenghi) — znalazła w Brigitte Bardot wymarzoną interpretatorkę. A sam film, nienajlepszy zresztą, ale o frapującej treści — powinien niezadługo pojawić się na naszych ekranach. Może nawet zobaczymy na jego przykładzie, jak długo trwa przygotowanie wersji polskiej...

Jest tylko jeden szkopuł, który zainteresuje naszych najmłodszych Czytelników. Otóż film „Na wypadek nieszczęścia", to obraz od początku do końca podszyty erotyzmem; bohaterka mówi bez ogródek o pewnych kłopotliwych sprawach i przez chwilę występuje nago, skądinąd w dowcipnej scenie. W każdym razie, zgodnie z przyjętym u nas zwyczajem — obraz ten na pewno będzie niedozwolony dla młodzieży. Więcej o tym filmie, a także o systemie „film dla młodzieży niedozwolony" — napiszemy za tydzień.

A. J. P.

Francja: NOWE FILMY Nowi aktorzy

Foto: J. A. Pi.ecki

Tekst: M. A.

Dwudziestojednoletnia Pascal Petit, skromna manicurzystka, nigdy nie marząca o zawrotnej karierze aktorki filmowej, jest dziś wielką nadzieją filmu francuskiego. Jej talent, wdzięk, uroda, no i przede wszystkim młodość, uzasadniają ten pomyślny horoskop.

Czy pamiętacie uroczą komedię pt. „Parada natrętów"? — Oto jej bohater Noël-Noël w realizowanym obecnie filmie „Urzędasy". Film ten o tendencjach na ogół pesymistycznych dowiedzie ma, że nawet w epoce atomowo-wodorowo-elektronowej burokracja króluje w najlepsze. Jest to naturalnie komedia.

Czy codzienny szary dzień pełen trosk i kłopotów, ze swymi monotonnymi realiami, pozwala na pełne romantyzmu kultywowanie wzniosłych uczuć jak np. miłość? Nad takim pytaniem zastanawia się w filmie „Amanci" dwudziestopięcioletni reżyser francuski Louis Malle. Ale i on nie daje odpowiedzi na to pytanie.

Na zdjęciu, w jednej ze scen tego znakomitego filmu — Jeanne Moreau i Jean Marc Bory, których gra w tym filmie jest prawdziwą rewelacją aktorską.

Syn lekarza. Darry Cowl jest obecnie jednym z najpopularniejszych komików filmowych i teatralnych Francji. Odkryty dopiero w 1955 roku, zrealizował do tychczas około dwudziestu pięciu filmów. Jego talent rozwija się wyraźnie z roku na rok a jego nazwisko nabiera w świecie filmowym nie mniejszego znaczenia jak Noël-Noëla czy Fernandela.

EDWARD ETLER

Jawność pilnie poszukiwana

Od niedawna nastała nowa moda. Oto wszelkie inicjatywy, których ogromna ilość zwykła pojawiać się i znikać na firmamencie rodzimego kina — przeszły do konspiracji. Jak sława mołojecka była ich autorom (i nosicielom) obojętna.

Ostatnio powzięto np. decyzję, iż najbliższe i następne debiuty filmowe realizowane będą przez młodych twórców... bezpłatnie. Także więc absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, gdy już odsłuży swoje na szczeblu asystenckim, znajdzie opiekuna i postara się o dobry scenariusz — to po jakimś czasie może nakręcić samodzielnie pełnometrażowy film fabularny. O ile jednak zgodzi się realizować go za darmo.

Nie to, że powszechnie znany jest precedens dotychczasowych debiutów; w większości swojej nadzwyczaj interesujących wydarzeń artystycznych. Nie — że znana jest także rola, jaką odgrywa w naszej kinematografii środowisko absolwentów PWSF. Wymyślono następne „udogodnienie". Nowe zasady pasowania na reżysera.

Kategoryzacja istniała od dawna. Przejawiało się to w podziale twórców na trzy kategorie, a podział ów, zdałoby się istniejący w celu zaspokojenia czyjejś ambicji — znajdował swoje proporcjonalne odbicie na płaszczyźnie finansowej. Teraz, by osiągnąć progi (choćby) najniższej kategorii, absolwent wydziału reżyserskiego Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej legitymować się musi nie lada stażem, bo trzykrotnie spełnioną rolą drugiego reżysera. A przecież stanowiska drugich reżyserów bynajmniej na nikogo nie czekają! Przypadają one ludziom, którzy już odsłużyli swoje na stołku asystenckim. Słowem lekko licząc, młodzian wywodzący się z PWSF, choćby miał dyplom w kieszeni — może stracić kilka wiosen nim stanie się zadość rezolutnej literze prawa.

Ale prawo nie zaistniało samo. Zostało ono powołane do życia dzięki inicjatywie, opartej na prostym założeniu: młody twórca zgodzi się na wszystko (czytaj: na długie czekanie, ukoronowane bezpłatną — pominąwszy etat — pracą), byleby wreszcie mógł nakręcić własny film. Czy jednak pomysł tej inicjatywy nie kłóci się z interesem Odrodzonej Kinematografii? Uwaga: kinematografii „odrodzonej" dzięki — co tu ukrywać — także, (a może nawet w głównej mierze) absolwentom PWSF! Wobec wielokrotnego publikowania odpowiednich danych (kto co nakręcił i jakie zyskał splendory) dłuższy wywód wydaje się zbędny. Są to sprawy natury dość delikatnej, niemniej Szan. Inicjatorzy winni byli je wziąć pod rozwagę.

Teraz o innej inicjatywie. Jak wiadomo — powstało w naszym mieście „kino studyjne", usytuowane w niedużej salce kinoteatru „Adria". I jak powszechnie wiadomo — program rzeczonego kina nie zadziwia zbyt wyszukanym repertuarem. Pozwoliłem sobie tedy zauważyć (w felietonie „Getto filmów artystycznych"), że kinu studyjnemu przydałaby się opieka któregoś z Klubów Filmowych. Chodzi o rozsądniejsze od obecnego — pomyślenie nad repertuarem. Teraz ze zdumieniem dowiaduję się, że wbrew oczywistym pozorom — nad linią programową „kina studyjnego" rozciąga się jednak czyjaś opieka! Podobno i „Express" jest z tym związany i Centrala Wynajmu Filmów w osobie swojej sympatycznej Ekspozytury i Okręgowy Zarząd Kin, i nawet ktoś spośród ciała naukowego PWSF! Ba, jeszcze i Klub Filmowy na dokładkę. Szkoda tylko, że wyników tej opieki, niestety, jakoś nie widać. Kiedy piszę te słowa — „idzie" akurat w „Adrii" film „Gdyby wszyscy ludzie dobrej woli..." Mimo swoich nader humanistycznych treści — obraz ten stanowi niezłą pointę dla wszystkiego co się napisało wyżej *).

W zasadzie chodzi o rzecz bardzo małą. O wyjście inicjatyw z konspiracji. I to nie tyle o ujawnienie oblicza — tego czy innego autora, jeśli ma on ochotę pozostawać w cieniu, ile o ujawnienie sensu każdej z poszczególnych inicjatyw.

Niekiedy jednak sens inicjatywy zdaje się być wyraźny. Oto np. „Dziennik Łódzki" z dnia 19 marca ogłasza, że zrealizowany na podstawie francuskiej powieści polsko-fińskiej film z udziałem szwedzkich aktorów pt. „Noc poślubna" reż. p. Blomberga — trwa „niewiele ponad godzinę", a „Anatol szuka miliona" — podobnie. „Dziennik" kpi ze średniometrażowych ambicji i słusznie radzi wrócić do tradycji filmów dłuższych. Inicjatywa bardzo rozsądna. Tylko gdzie się pomieszczą dodatki, których rozprowadzanie krajowa publicystyka filmowa wywalczyła dziesięcioletnim, a zmasowanym ogniem artylerii?! Chyba, że ktoś wreszcie wpadnie na pomysł poszerzenia seansu kinowego; przynajmniej o pół godziny. Znajdzie się wtedy czas na filmy istotnie pełnometrażowe z dodatkami, i co bywa na ogół nieobojętne — na wietrzenie sali także.

*) Następnym punktem programu jest obraz „Kości rzucone" — obie pozycje uważam za dyskusyjne — bo akcję studyjnego kina zacząć by raczej wypadało od filmów znajdujących kompromis między jakością artystyczną a zarazem atrakcyjnością dla przeciętnego widza.